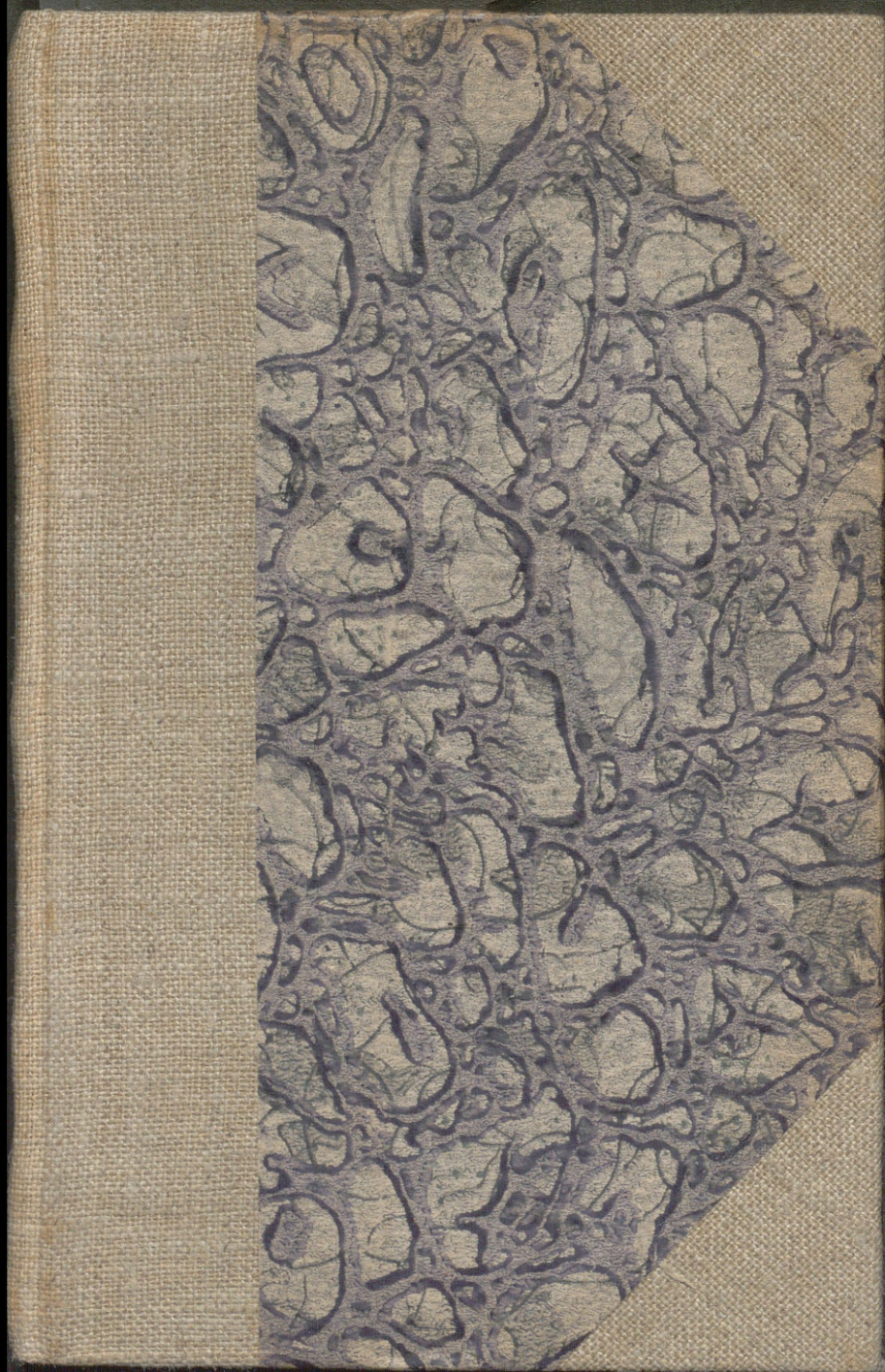




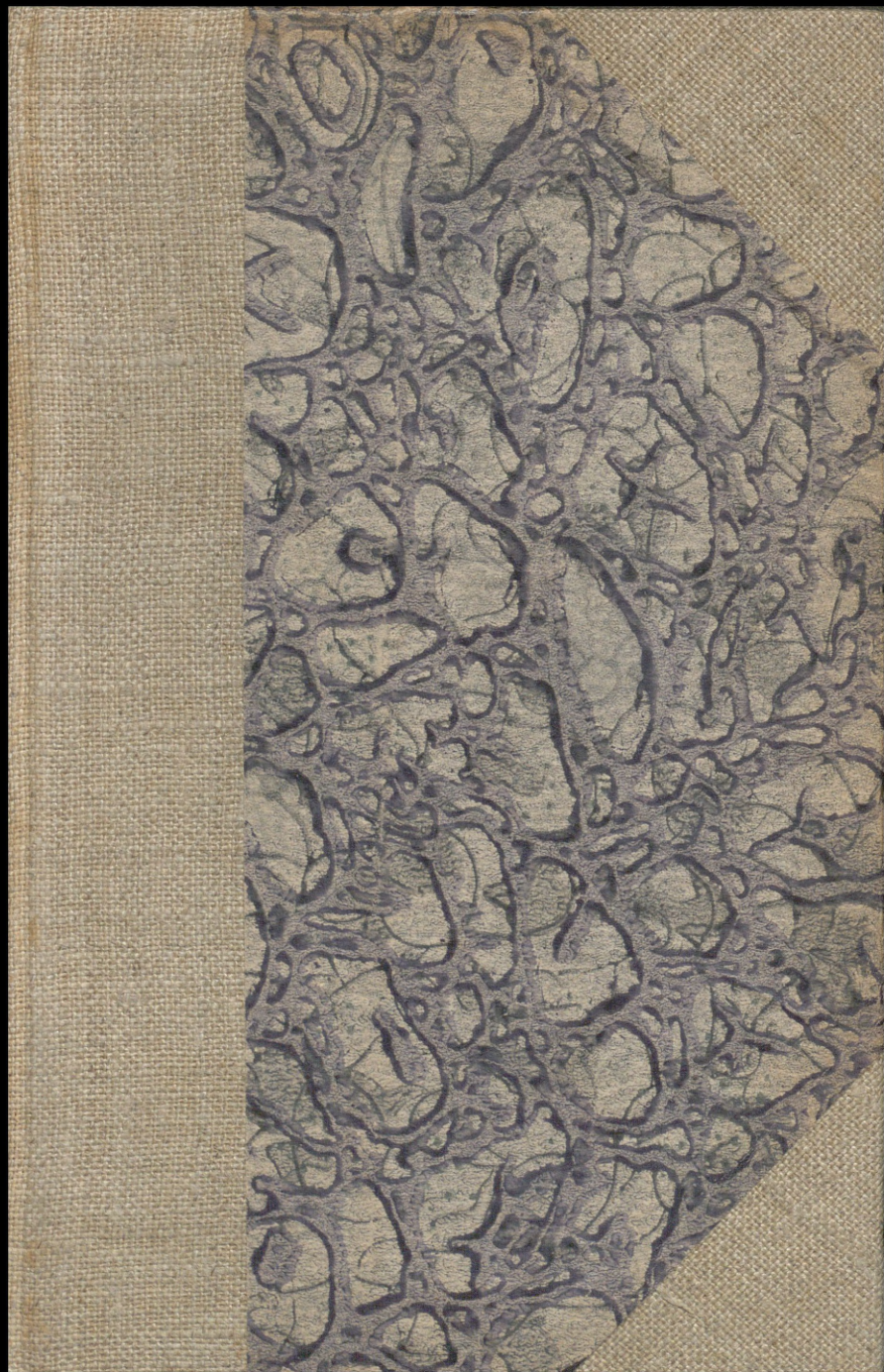
Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







*Anna Milawska*  
*26 sierpnia 1925 r.*

## KOBIETA W RODZINIE

WYDAJ. DROG. TYNIA I WOLFA  
KRAKÓW - WARSZAWA - ŁÓDŹ - GDAŃSK  
POZNAN - WILNO - ZAKOPANE



Anna  
Mariano de  
1840

KOBIETA W RODZINIE



FELIKS BRODOWSKI I TEOFILA BRODOWSKA

# KOBIETA W RODZINIE

SZKIC MORALNOŚCI PRAKTYCZNEJ  
NASZYCH MATEK



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



PIEŁIKS BRODOWSKI I TEOFILA BRODOWSKA

# KOBIETA W RODZINIE

SKŁAD MORALNOŚCI PRAKTYCZNEJ  
NASZYCH MATEK



## SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC.” NEW YORK  
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.” KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI  
1925



## WSTĘP

PRZEZ

FELIKSA BRODOWSKIEGO

---

### 1

#### WYZNANIA OSOBISTE. — (LIST DO PROF. S. P.)

Szanowny i zacny Panie! Tylko w czasie opóźniłem się z odpowiedzią na list Pański <sup>1)</sup>, bo w sercu odpowiedzi udzieliłem natychmiast i w pełni. A była to odpowiedź gremjalna całego mego kółka rodzinnego, w którym stanowimy zdaje się jedno serce. W tem tedy kółku list Pański odczytaliśmy z wzruszeniem i głęboką radością. Nigdy też serdeczniej

---

<sup>1)</sup> Dziękując za egzemplarz Domu Cedrowego, profesor S. P. nadesłał mi z Wilna, na początku grudnia 1922 r. list, a w nim obok życzliwej opinii o tej skromnej »Książce myśli, przypomnień i opowieści« zawarł kilka słów tak bezpośrednio z serca dobytých, że w sercu, niemi obdarzonem, zakiełkowały natychmiast, jako zachęta do pisania dalszych części Domu. Zaraz też zacząłem je dłużyć. Pierwszym wyrazem tej dłużaniny była niniejsza odpowiedź na list Profesora, więc za Jego zezwoleniem podaję ją na wstępie *Naszych Matek*.



nie uściśnąłem się z moim Olesiem (zna go Pan z *Domu Cedrowego*), jak po odczytaniu zacnego pisma Pańskiego. Dzieleń się z nim każdą moją radością, jak i wielu bólami, a lubo dziecko to (ma rok ósmy) może nie wszystkie słowa listu zrozumiało, lecz pewny jestem, iż w pełni odczuło to szczególne ciepło, dające i pokrzepienie i słoneczność wewnętrzną, jakie się odczuwa, gdy ludzie dalecy w wymiarze przestrzennym, których nie widziało się nigdy i nigdy może nie zobaczy, stają się naraz przytomnymi w sercu. Przytomnymi, bliskimi, znajomymi i poufałymi, jakby już beczkę soli z nimi się spożyło. Wszędzie jest jasno, ciepło, dokąd przenika słońce; wszędzie jest słonecznie i serdecznie, dokąd przenika dobroć Boga. Nigdy zaś i nigdzie nie odczuwa się jej tak wyraźnie, jak w momentach, gdy roztapia (ona jedna zdolna to uczynić!) zimne powłoki ludzkich osobowości, czyniąc z nich jedno serce.

To też bez ceremonji zabieram się do długiej gawędy z Panem, bo mam wiele Panu do powiedzenia i muszę to uczynić nieodwłocznie. Gawędząc zaś z Panem, będę sobie myślał, że zarazem i z tą gawędę zaczął młodzieżą, z którą Pan ma ukontentowanie i szczęście zbliska obcować w Waszym uniwersytecie.

Wielką, aktywną, twórczą moc ma każde „Szczęść Boże!“, tak serdecznie, jak Pan to uczynił, powiedziane. Bowiem budowa domu cedrowego, nawet w rozumieniu literackim, jest i musi być

robotą zbiorową. Nawet moment krystalizacji myśli w słowie, który wydaje się sprawą już nawskróś indywidualną, moją własną, sprawą osobistego umysłu, talentu i t. p., nie sędzę, by był takim, a przynajmniej byłbym w niesłychanym kłopotcie, gdyby mi wypadło określić, co w tem jest własnego. Bardzo daleki od mistycyzmu i zupełnie — zdaje mi się — niepodatny dla wpływów medjumistycznych, twierdzę w zupełnej szczerości przekonania, że ani to, co piszę, ani to, jak piszę, nie jest rzeczą indywidualną. Piszę pod dyktando. Czyje? — Odpowiedź na to jest tylko trudna, ale nie jest niemożliwa, — i łatwiejby wypadła naprzykład Panu, gdyby Pan podjął w tym kierunku badania, niż mnie. Ale i mnie odpowiedź ta w pewnych momentach prześwituje; zaznaczyłem to w *Domu Cedrowym*, mówiąc o powiązaniu duchowem z moją Matką. Ogólnikowo ująłbym odpowiedź w te słowa: »Dyktują mi moi bracia i moje dzieci, ale nie jest też rzeczą wyłączną, że pewne ustępy dyktowane są stamtąd, gdzie — jak mówi Mickiewicz — »nie mylą się nigdy!«

Przyznawać się do pisania »pod dyktando« bynajmniej to nie znaczy — usuwać się od odpowiedzialności. O! bynajmniej! Raczej poczucie odpowiedzialności występuje tu stokroć bardziej twarde, surowo, powiedziałbym nawet: bezlitośnie, niż przy traktowaniu tych spraw jako indywidualnych. W tym wypadku każdy mój czyn pisarski, — zły czy dobry, — idzie na karb mojej indywidualności pisarskiej, a stąd — dla ambicji: miodosytنيا, —



dla sumienia: palarnia opjum! Napisałem — dajmy na to — rzecz piękną i niemoralną: za jej piękno chwałą mnie, jej zaś niemoralność podają za nieunikniony skutek jakichś indywidualnych właściwości mojego artystycznego ustroju i talentu. Ambicja syta, sumienie — sfalszowane!

Natomiast, gdy piszę z a d y k t a n d e m, muszę rozwinąć w sobie niesłychaną uwagę i czujność, by niczego nie uronić, wszystko dosłyszeć, niczego nie sfalszować. Nigdy nie ma się wtedy pewności, jaką miewa ambitny, w sobie zaufany talent, iż daje się istotnie rzecz dobrą. Ta niepewność jest dręcząca. Znam tę udrękę od lat trzydziestu pięciu. Uprzejmość i pochwały krytyków nie mogą jej ulżyć, raczej ją wzmagają, gdyż wtedy zradza się myśl, że może nie tylko sam się omyliłem, lecz i innych w błąd wprowadziłem. Dopiero, gdybym czyn dobry zobaczył, czyn rozkwitły z mego posiewu, dopiero bym się uspokoił i uwierzył, że m d o b r z e dosłyszał, dobrze dosłyszał i dobrze powtórzył, co mi było dyktowane, i że mi — usty moich braci i moich dzieci — dyktowano istotnie stamtąd, »gdzie się nie mylą!«

Gdy więc budowa cedrowych domów nawet w swem słownem ujęciu jest robotą wielkiej zbiorowości duchowej z zaczynu Boskiego, tedy każde wrzucone do niej »Szczęść Boże!« jest przyłączeniem się do tej roboty i odnosi skutek aktywny. Było raz na polu pięciu żeńców; trzech żęło pomimo

dokuczliwości spieku południowego, dwu zaś wypoczywało na miedzy, leżąc i baraszkując. Przechożąc tamtędy, ktoś rzekł: »Panie Boże dopomóż!« Dwu wypoczywających tak szybko pochwyciło sierpy, że zdążyli przyłączyć swe głosy do zgodnej wszystkich odpowiedzi: »Panie Boże zapłać«. Umysł człowieka to owych pięciu żeńców; coraz to któryś pokłada się w leniwym wypoczynku i baraszkowaniu bezpłodnem, ale wszyscy porywają się chętni i ochoczy na jedno przypomnienie B o ż e g o uczestnictwa w ich pracy.

Jakiegokolwiek byłyby nasze metafizyczne wyobrażenia o Bogu, to biorąc rzeczy w niewykrętnem, prostem, życiowem znaczeniu, — Bóg narzuca się naszemu rozumieniu jako pierwiastek Pracy, którą tętni cały wszechświat. Niestety i mnie się zdarza, że żeńców swoich coraz to zdybię na pokładaniu się po miedzach, a wtedy czyjes »Szczęść Boże« jakże jest pożądane i pomocne! Dziękuję.

Nieraz mając przedsięwziąć jakąś pracę, długo namacywałem przed sobą drogę. Wyrażało się to w postaci wynużeń i listów do moich przyjaciół, a było zapewne próbą wsłuchania się w owo czyjes dyktando. Prócz tego jednak skłaniały mnie do takiego postępowania dwie pobudki natury może bardziej osobistej. Pomimo to rozważę je tutaj, gdyż i to może się komuś przydać.

W wykładaniu pisemnem przed przyjaciółmymi i przed sobą samym planu zamierzonej pracy, jej etapów, jej gotowych już częstokroć frag-



mentów, — tkwiło pewnego rodzaju zobowiązanie. Wobec niesforności, a czasem i lenistwa tych naszych żeńców, od których plon naszej pracy umysłowej zależy, takie publiczne poniekąd zobowiązanie się do wykonania pewnej pracy bywa użyteczne. Ale świadczy niewątpliwie o jakiejś ułomności. Uczyniłem spostrzeżenie, że ta słabość czy ułomność występuje dobitniej w pierwszej połowie życia, gdy to często się zdarza, iż człowiek nosi w sobie Boga nieświadomie i dlatego nadewszystko przywiązuje wagę do zobowiązań przyjętych wobec ludzi. Rodzina, szkoła, koleżeństwo, kochanka, społeczność najbliższa, naród, ludzkość, — oto ołtarze, przed którymi składamy przysięgi; składamy je dlatego, aby tym sposobem zobowiązać wszystkich naszych żeńców, wszystkie siły duszy do wiernej służby zaprzysiężonemu ideałowi.

Ale konieczność zaprzysięgania — powtarzam — już świadczy, że coś w człowieku jest jeszcze słabego, chwiejnego, że sam siebie nie jest pewien i dlatego sam siebie krępuje, wiąże lub podnieca mniej lub więcej uroczystymi nakazami i zakazami. Przysięgnij, że to uczynisz! Przysięgnij, że tamtego nie uczynisz!

Ale to zmienia się i mija. Mija, bo płynie wszystko, i płyniemy w naszym każdym kręgu istnienia ku jego syntezie. Wielkiem jest i nieprzepartem, i świętem, i zrozumiałem nasze dążenie ku syntezie życia. Bo czemuż ona? Sensem życia — w każdym jego kręgu. Synteza jest to, co czyni nam

zrozumiałą i logiczną naszą przeszłość i pozwala przeglądać przyszłość; w wiekuistym obiegu życia jest to punkt zenitowy każdego kręgu, jest to moment poznania rzeczy dokonanych i śmiałego zapadnięcia okiem w rzeczy przyszłe; jest to rozpoczęcie nowego kręgu w nieskończonej spirali życia.

Otóż w drugim kręgu, w drugiej połowie naszego osobniczego życia — już nie bywa przysiąg. Dlaczego? Bo synteza pierwszego kręgu przynosi nam powiązanie w jedno wszystkich ołtarzy i wszystkich ideałów, przed którymi dotąd zginały się kolana nasze. Zaprawdę kochana młodzieży! — i rodzina, i koleżeństwo, i kochanka, i Ojczyzna, i ludzkość — wszystko powiąże się w was w jedną Świętość, którą na jednym umieścicie ołtarzu. Jego miano — Bóg. A już pisałem o tem i wszyscy pewnie doskonale to czujecie, że dość jest wyciągnąć ręce do Boga, dość zatęsknić do niego, by natychmiast zeszedł do nas i przycisnął nas do serca i wypełnił nas sobą. Odtąd zatem przestajemy być nieświadomymi, stajemy się świadomymi nosicielami Boga. I odtąd niepotrzebne nam ani nakazy, ani zakazy, nie potrzebujemy zobowiązywać się, ani przysięgać; należy tylko troskliwie baczyć, by Boga z siebie nie wypłoszyć. Póki on w nas, to co czynimy — czynimy dlatego, że wtedy inaczej czynić nie możemy. Póki On w nas! Aleć samodzielność jeszcze nam nie odjęta, i jednym złem pomysłem tak możemy Boga w sobie zasłonić, jak palec przy oku trzymany słońce nam zasłania. A wtedy znów stajemy



się popychadłem nakazów i zakazów, zobowiązań i zaprzysiężeń, u ludzkich ołtarzy czynionych. Chcieć nosić Boga w sobie—jest to chcieć swoją wolę jednozczyć z Jego wolą. Jest to najwyższy z widomych mi szczytów — zenit i synteza drugiego kręgu życia.

Nieraz patrząc na swe małe beztroskie dzieci, z smutkiem myślę, że na ów szczyt niepodobna dostać się bez cierpień. Zgoła niepodobna! Każdy krok na tem skalistym zboczu — to skaleczenie i jęk, i niemasz wreszcie w człowieku ani jednego miejsca nieobolałego, i nieraz sobie oczy przysłonisz, by własnego serca nie widzieć, w jakieś krwawe szmaty potarganego, i nieraz bliskiś rozpaczy, a jednak — jak w legendzie św. Franciszka — coś »skrzepia członki« i w niewidocznem źródle siła się odnawia. Tedy idziesz i dojdziesz! I dzieciom moim do szczytu tego drogi nie zamknę. Ale być z nimi — będę zawsze, bo w istocie ciężko, ciężko bywa w tej drodze chwilami.

Po takich oto kręgach żywota, śladem wielu pielgrzymów polskich szedłem i ja, wśród nich najuboższy duchem, i z drugim kręgiem płynąc, żadnych już zobowiązań przed ludźmi na się nie biorę. Otworzyłem serce swoje dla Boga; jeśli nie utrzymam serca czystem, Bóg je ominie; jeśli utrzymam je czystem, Bóg przez nie przepłynie i wysączy się dobrym czynem lub słowem, lecz ja o tej dobroci nic wiedzieć nie będę, ani czuć jej nie będę, ani zasługi nie pozyskam, ani chwały nie przyjmę.

Tak tedy wśród przyczyn, które skłaniają mnie

i dziś jeszcze do pisania do moich przyjaciół listów, jak ten, — niema już tej, co dawniej czynną bywała: potrzeby skrępowania się jakimś zobowiązaniem. Być może, że jeszcze czynną bywa druga, i o tej powiem z kolei.

Od małego — miałem liche zdrowie. Taka była opinia lekarzy i — niestety, moja własna. Mówię: niestety, bo szkodliwszym jest błędem, gdy człowiek sam wątpi o swych siłach, niż gdy lekarz jego o nich wątpi. Źródło »żywych wód«, gdzie siła obumierająca odnawia się i skąd nowa niewyczerpanym napływa strumieniem, bije w podświadomych pokładach duszy, dotąd bardzo mało zbadanych. Niczego tam nie wymierzono i niczego nie obliczono. »Mierzyć zamiary na siły« — jeden to z najlichszych fałszów życia. Wymierną jest ta tylko siła, która jak fontanna nad powierzchnię ziemi tryska widomie, cały zaś rdzeń jej, uchodzący w nieskończone głębie duszy i sięgający niewątpliwie do swego prazródła: Boga, wymierzyć się nie da. Stąd też każdy zacny zamiar trzeba podejmować, ani oglądając się na swe siły, ani mierząc je, bo w jego zacności jest potęga nad potęgą.

Cudne są momenty wyrastania skrzydeł u człowieka. Cudne — lecz nie cudowne. Bo cudów w znaczeniu wyłamywań z przyrodzonego porządku rzeczy nie bywa; cudem nazywamy nieprzewidziane i nieobliczone ujawnienie czynności podświadomego rdzenia duszy. Tych cudów, — nie cudownych, lecz zawsze cudnie pięknych, — któż w so-



bie nie doznał! I ja od nich nie byłem odsądzony. Ścieżyna mojego życia zachodziła czasem w wąwóz tak ciasny, że w jakiejś chwili czułem się zupełnie unieruchomiony; ani naprzód, ani wstecz, ani się czego uchwycić, ani się ruszyć, ani na kogo wołać. Giń i tyle; jak w widzeniu owego zbójcy, którego to św. Franciszek nawrócił, a Anioł prowadził po jakichś wertepach, aż zawiódł go do mostu czy kładki »bardzo słabej, wąskiej, śliskiej i bez poręczy po bokach«. W połowie tej kładki («a pod nią płynęła rzeka straszliwa, pełna węży, skorpjonów, smoków i smrodem ziejąca okropnym») Anioł go opuścił, i biedak został sam, w takim właśnie położeniu: ani wstecz, ani naprzód! Począł się modlić. A cóż to jest modlitwa? Ulatywanie. Istotnie poczuł, że »zaczynają mu puszczać się skrzydła«. Słabe — i dwa razy go nie utrzymały, lecz za trzecim razem »całą siłą wzbił się w lot i leciał w górę aż do miejsca, kędy poleciał był Anioł«.

Chciałbym wśród młodzieży znaleźć paru dobrych młodzieńców, którzyby mi przyrzekli, że gdy kiedyś, kiedy będą już w wieku męskim, napotkają moje dzieci, to im powiedzą, aby — zaszedłszy na śliskie, wąskie kładki, lub w ciasne wąwozy, gdzie ani wstecz, ani naprzód ruszyć się nie można, — próbowały wzlecieć.

Wyrastanie skrzydeł nie jest wcale aktem nadprzyrodzonym, lecz zgoła przyrodzonym; skrzydła, to organ jak inne; wszelkie zaś organy powstają, rozwijają się, doskonalą w walce każdej istoty o swój

byt, a więc i w walce ducha o byt ducha. Organ, zmysł, powstaje w miarę potrzeby, jest wyrazem potrzeby i woli. A duszy doprawdy tylko lot przystoi; to ratunek, ucieczka, swoboda i duma, jakiej żadna inna funkcja ludzka nie sprostą. Zostawmyż pełzanie płazom!

Chorowitość fizyczna i posępność wąwozów, wśród których przeciskało się moje życie, rzuciły na pierwszą i większą jego część cień, gruby cień melancholji. Nie mogę innej dać nazwy temu jakiemuś smutkowi życia, co ani rozpaczą ani pesymizmem nie był, a był raczej jakąś zastygłą, znie ruchomią tęsknotą. Zły to więc był stan, bo tęsknota jest czynna i twórcza tylko wtedy, gdy jest lotna. A lotną stać się nie może, gdy brak jej skrzydeł nadziei. Ja ich nie miałem. Miałem tylko głęboką pogardę dla wszelkiego płazu. To było wtedy dobre, bo pogarda jest siostrzycą dumy, duma zaś wspiera nas nawet wtedy, gdy wszystko opuści.

Za długo tu opowiadać, kiedy to zaczęły mi się puszczać skrzydła, a melancholję lat młodych i męskich zaczęła rozsloneczniać radość życia uduchowionego, czyli uskrzydłonego, kiedy poczułem się wolnym. Uczucie wolności rozsądza pierś ludzką niezmierną dumą, — i mnie też poczęło dumy przyrastać, a jednocześnie, — zaznaczę to ot tak, mimochodem, — coś zaczęło się zmieniać w uczuciu pogardy dla płazów. Wolnemu wydał mi się płaz niewolnikiem, więc istotą nie pogardy godną, lecz żalości i — wyzwolenia. Z tych momentów datuję



moje najgłębsze przekonanie, które w czasach, kiedy jeszcze układałem maksymy życia, wyraziłem tak: Nie sądź i nie potępiaj! zamiast tego — czyń dobrze, czyli wyzwalaj!

Praktyczny, na bliską metę skutek mojej chorobowości był i ten jeszcze, iż wytworzył się we mnie pewien nastrój, który u osobników mniej odpornych łatwo przechodzi w hipochondrję, we mnie zaś przejawiał się jakąś gotowością czy przygotowaniem do śmierci. Miałem za rzecz pewną, iż nie będę długo żył (tymczasem przeżyłem już bagatelkę: 58 lat!), i powiem bez żartów, że co najmniej kilkanaście razy brałem się do pisania testamentu, oczywiście nie gwoli rozporządzania dobrami ziemskimi, których nie posiadałem, lecz raczej duchowymi zdobyczami myśli. Wreszcie ów nastrój przylgnął do mnie na stałe, wrósł, stał się cechą organizacji duchowej i już mnie prawdopodobnie nie opuści.

Praktyczne skutki tego są dość znaczne i bardzo dobitnie odbiły się na mojej pracy pisarskiej, jej technice. Podejmowałem każdą pracę zawsze pod znakiem pytania, czy też ją dokończę. Stąd pewien pośpiech, czasem nawet gwałtowny, w wyrzucaniu z siebie myśli, które, wydawało mi się, że nie powinny ze mną umierać; stąd to, Szanowny Panie, i te długie listy do moich przyjaciół, które nie są czem innem, tylko testamentami myśli, streszczanemi naprędce w obawie, że może nie zdążę tych rzeczy rozwinąć w książce. W ten sposób po-

wstał *Dom Cedrowy* i nieinaczej pewnie powstanie, jeśli powstanie, ciąg jego dalszy: *Nasze Matki* <sup>1)</sup>).

Ujemnym skutkiem takiego stanu rzeczy jest dorywczość pisania, bezplanowość i niesystematyczność, zabieganie naprzód i brak jasnych powiązań, które nieraz z pewnością czytelnik intuicyjnie musi namacywać. Ale — cóż robić! Staram się później łątać i uzupełniać. Łataniną *Domu Cedrowego* będą *Nasze Matki*; winnyby one uzupełnić ten rozdział, który tam nosi tytuł: »Naszych matek domy cedrowe«.

Kończąc ten list, — a kończyć mi się nie chce, bo noc taka jakaś wymowna w swej cichości, wszak to noc Bożego Narodzenia! — wybiegam myślą ku Wilnu, którego nie znam, ku Panu, którego nie znam, ku Pańskiemu młodemu przyjacielstwu, którego nie znam, i ku ucichłej przeszłości Wilna, którą znam trochę, dość, by ją miłować, — i obejmuję to wszystko jednym uściskiem. Oby Bóg radośnie zagościł w Waszych sercach i w Waszem mieście!

26 grudnia 1922 r. Warszawa.

2

ŚRÓD ŻŁUD KINEMATOGRAFU. — W NIEWOLI  
KŁAMSTWA. — DWA OKUPY WOLNOŚCI.

Znaczenie kinematografu wzrasta z każdym dniem, wzrasta ilościowo — z przybytkiem jego zwo-

---

<sup>1)</sup> Taki był pierwotnie zamierzony tytuł niniejszej książki.



lenników — i jakościowo — ponieważ jedna ich sobie w coraz dostojniejszych sferach i sięga coraz głębiej w treść życia ludzkiego, urabiając ją poniekąd w sposób swoisty, czy nawet stając się tą treścią. Dziś bezwątpienia każdy szanujący się monarcha z pośród pozostałych jeszcze tu i ówdzie nie-dobitków monarchizmu posiada obok jadalni, w której pokrzepia swe ciało, kinematograf — dla umocnienia swego ducha. Przylega kinematograf bezpośrednio do sypialni królewskiej, i dzięki temu nic nie staje na przeszkodzie, by pokrzepiony na ciele i umocniony na duchu władca mógł miłą czy pouczającą, dramatyczną czy figlarną igraszkę cieni kontynuować w śnie. W tym wypadku kinematograf pełni rolę niewątpliwie dobroczynną. Pożalowania godni w dzisiejszych swych utrapieniach reprezentanci zasady ongi państwowotwórczej, niemal światotwórczej, zasady ongi, jak młot, wykuwającej potęgę, a dziś — jak rzadka galaretka — nie dającej się utrzymać w ręku, wyblakłe podobizny, anemiczni spadkobiercy władców świata — stali się igraszką fali, która ich królewskim statkiem miota tak nie-dbale, jakby to była łódź prostego rybaka. Zanim ta fala przybije ów statek do cichej przystani »królów na wygnaniu«, królów, którzy, wyzbywszy się dotkliwych frasunków, mogą dosyta umilać sobie chwile operetką — póki sami do niej nie przejdą, — czeka ich w ciągu burzliwej przeprawy niejedno jeszcze ciężkie przejście, niejedno wrażenie, przed którym dobrzeby było dłonią oczy zasłonić — gdy-

by to wystarczało! Najcięższa bezwątpienia jest właśnie niemożność opanowania — fali. Gdy nie można rozkazywać dziejom, miło tedy jest rozkazywać choć — ceniom. Pomyślę sobie jakąś piekielną tragedję, w której wniwecz podruzgotane zostaną wszystkie te odrażające potęgi, co na jawie strachem skuwają mi duszę — i oto na długiej, tysiące metrów liczącej taśmie filmowej rozwiną się dzieje takie, jakimi chcę je mieć. Lub — dla odmiany — zapragnę czegoś figlarnego, swywolnego, łaskotliwego — i posłuszne rozsuną się kotary, osłaniające wnętrza zacisznych buduarów, otworzą się ustronne pawilony parkowe, popłyną cienie te, jakie moja wola wywoła, będą tak przybrane, jak zechcę, lub nieprzybrane, będą się uśmiechały, i tańczyły, i ścisnęły, i całowały — wszystko tak, jak zechcę. Jeśli to nie jest potęgą istotną, to jednak jest symbolem potęgi nad potęgami, symbolem woli światowej i życiotwórczej. Nie dziw, iż niemoc bezwładna i bezwolna — jak dziecko pajacem — cieszy się i bawi tą złudą mocy i władnej twórczości. Jest wręcz niepodobieństwem, by społeczny monarcha mógł się obejść bez kinematografu; sam będąc już poniekąd cieniem czegoś, co było, lgnie i lgnąć musi do cieni; ich igraszka posłuszna, powolna jego skinieniu, pieściwa, odgadująca jego życzenia zastępuje mu to, co usuwa mu się z pod nóg — rzeczywistość, twardy i pewny grunt życiowy, po którym chodzić dzieje, niestety, go nie nauczyły.



3203 Z innych nieco — lubo pokrewnych powodów — kinematograf odgrywa rolę doniosłą w życiu społecznego męża stanu. Dziś stanowisko jego jest jeszcze nierównie bardziej solidne niż mohikanów królewskość, a czas, w którym i ten okaz fauny dyplomatycznej przejdzie wypchany do kolekcji zoologicznej, jest znacznie dalszy niż chwila, gdy to ostatni z królów osiadzie dożywotnio na przytulnym Jasnym Brzegu. Jednak — tyleż co jockey bez treningu — nie może się mąż stanu obejść bez kinematografu. Może go nie posiadać w bezpośrednim sąsiedztwie swego gabinetu do pracy, lecz uczęszczać — musi. Jeśli nie dla dydaktycznych korzyści, to dla utrzymania się w nastroju, dla dodania sobie ducha, dla zasugerjonowania sobie samemu pewności, iż dzieje są tylko scenarjuszem dla ekranu, na którym, po zakręceniu korbą, zjawiska dziejowe rozsnuwać się będą tak, jak je pomyślała dyplomacja. Pozbawić jakiego Lloyde-George'a kinematografu byłoby równem okrucieństwem, jak otwarcie mu oczu na rzeczywistość i prawdę dziejową lub pokazanie mu w perspektywie przyszłości gromady myszy, łakomie raczących się aktami tej lub owej konferencji. Mężowi stanu, zajętemu urabianiem dziejów, zaproponować, by poniechał tej roboty i, zamiast urabiać życie, spróbował sam żyć, byłoby to wytrącić go z kolei, zbić z tropu i unieszcześliwić.

Mężów stanu, jawnych mężów stanu, jawnie na ich stanowisku w kinematografie dziejowym usy-

tuowanych, pomawiają, iż są oni konfidentami czy wręcz tajnymi agentami Mocarstwa Anonimowego. Tam układa się scenarjusz, a ten lub ów z mężów stanu jest tylko — od kręcenia korbą. Rzecz, o ile do sprawdzenia a posteriori, z dowodami rzeczowymi w ręku, trudna, o tyle a priori, w świetle prostej logiki życia, widoczna, gdy zwłaszcza uprzytomnimy sobie genezę i istotę potęgi, jaką osiągnął dziś kinematograf. Dla monarchy stanowi on — osłode, dla męża stanu — nastrój, dla Żyda zaś nieskończenie więcej, bo — sens życia. Żydowi odając kinematograficzność życia, skłonić, zmusić go do obcowania z rzeczywistością i posługiwania się wartościami rzeczywistymi, nie zaś pobraniami z jakiegoś miłego mu scenarjusza kinowego, byłoby możliwe tylko — z odmianą jego duszy. Życie ma przed sobą tylko jedną jedyną alternatywę — życie. Nie można jednocześnie żyć i nie żyć, jednocześnie tkwić w rzeczywistości i w złudzie, jednocześnie być z Bogiem i przeciw Bogu, służyć cnocie i handlować nią, być rzecznikiem i prawdy i kłamstwa. Może to przykre, lecz prawdziwe, wypływa zaś z tego, iż niema dwu Bogów — lecz jeden, ani dwu cnót — lecz jedna, ani dwu prawd — lecz jedna. Formuła Jedności i Rzeczywistości, którą wyprowadziłem w *Domu Cedrowym*, może być w pewnych razach — rozumem to dobrze — niedogodną, cóż jednak poradzić na to, skoro jest ona konstrukcją życia nie zaś logiki. Logikę można tak i owak nakręcać, życia — nie. Dlatego też — albo kinematograf, albo życie!



Jest wybór, lecz niema, bezwzględnie niema możliwości powiązania z sobą pierwiastka pozytywnego z negatywnym, rzeczywistości ze złudą. Co jest rzeczą — zostanie rzeczą; co jest cieniem rzeczy, nigdy nią samą nie zostanie.

Dlaczego jednak kinematograf, który dla każdego pospolitego człowieka jest tylko rozrywką, jedną z rozrywek może nie najprzedniejszą, lecz niegorszą od wielu innych, który dla władców, oczekujących zdetronizowania lub już zdetronizowanych, jest godziwą i niewinną osłodą wytrąconego z swej kolei życia a dla mężów stanu krynicą nastroju dyplomatycznego — dla Żyda staje się esencją życia?

Jest to wynik — tragedji!

Ale choćby tragedia, takie wyniki dająca, miała być najbardziej wstrząsającą z wszystkich, jakie na globie ziemskim się wysnuły, to jednak niema powodu, by ludzie i narody, tą tragedją niedotknięte, miały koniecznie kaleczyć, wykoszlawiać, plugawić, znieprawiać i pustoszyć swe życie dlatego, iż czyjeś zostało tragicznie spustoszone. Należy wziąć pod uwagę, iż każda tragedia niedość, iż czyni posępnem wnętrze domu, w którym się odegrała, lecz nade wszystko wytwarza pewną swoistą psychikę u jego mieszkańców, świat zaś nie zna chorób groźniejszych, bardziej udzielających się i straszliwsze spustoszenia czyniących nad psychozy narodowe.

Twarde i surowe były prawa Starego Zakonu. Wysączyły się z odwiecznych źródeł prawdy życia, odgadnionej i sformułowanej przez umysły wyjątkowej przenikliwości bogoznawców i proroków Izraela. Poszły jednak na użytek raczej obcych, niż swoich. Już wówczas najgłębszą, gdzieś w rdzeniu tkwiącą cechą Żyda był wstręt do Rzeczywistości, do nagiej surowości życia i jego nagiego piękna. Nie było jeszcze kinematografu, lecz była już tęsknota ku niemu, przesłaniająca jawę życia zjadliwym, trującym oparem. Ona to sprawiała, iż Jehowa raz po raz musiał uchodzić z poświęconego mu Przybytku i ustępować miejsca cielcowi odlanemu z złotych nausznic, których na taki cel nigdy nie żałowali synowie i córki Izraela, łaknący kinematograficzności życia. Ledwie za jakimś węglem życia zdoła skryć się Mojżesz, alіści natychmiast jaki Aaron przystępuje do przetapiania zausznic. Ten wytrawny znawca psychiki swego ludu dziś byłby inscenizatorem kina. Przypomnijmy sobie ten moment wspaniały w swej głębokiej i wiecznej prawdzie życiowej, gdy na wierzchołku Synaju, symbolizującym szczyty uduchowienia ludzkiego, rozwidnione boską prawdą, Mojżesz usta w usta obcuje z Jehową, a opodal, u podnóża góry lud z niewoli przezeń wyprowadzony płasza wokół cielca, wołając: »Oto są twoi bogowie, Izraelu, którzy cię wywiedli z ziemi egipskiej« (Exod., 32, 4). Było to pierwsze pomysłowo zainscenizowane przedstawienie o wybitnie kinematograficznym charakterze i na użytek specjalnie psy-

chiki żydowskiej. Bo psychice tej surowy zakon mojżeszowy, wypływający z surowej prawdy życia, był głęboko nienawistny; padali plackiem przed Mojżeszem, kiwali się przed arką przymierza — ale prawda ich oburzała i była im nienawistną. W ciełcu zaś z złota odlanym usymbolizowany był zakon tolerancji dla zła; z doskonałą obojętnością przyjmował cielec oddawane mu hołdy, nie odkiwnął ani razu, ale był też doskonale obojętny dla spraw kazirodztwa, mordy, grabieży, dla nadmiaru zmysłowych rozkoszy, jak zresztą i dla wszelkich interesów ludzkich. Zakon Jehowy to prawda niepokojąca i groźna, jak niepokojącym i groźnym jest prąd życia, czyli walki — walki nadewszystko z sobą samym. A cielec to kłamstwo milczące i głuche, a przeto tolerancyjne dla wszelkiego kłamstwa, to swoboda popędów, to możność prześnienia życia, to zapowiedź i obietnica — kinematografu. »Ja znam upór twój i kark twój twardy — prawil Mojżesz do ludu swego — otom ja jeszcze przytomny wśród was, a już czynicie się opornymi Panu; ileż więcej będziecie takimi po mojej śmierci!« (5 Mojż. 31—27). Nie mylił się. Gdy przyszedł Chrystus, ukrzyżowali Go skwapliwie — zato, że był prawdą. Już wtedy atawistycznie drgała w nich niepohamowana, żarliwa nienawiść do prawdy i tęsknota do kinematograficznych snień. Prawo Mojżeszowe było surowe i twarde, jak jarzmo zakładane na woły; prawo Chrystusa było miłością, ale płynęło z życiem i miało



w sobie jego prawdę; tego było dość, by Żydom stało się niemiłym.

Z takimi cechami moralnemi ludzie ci nie mogli wytworzyć spoidel społecznych i państwowych. Upadek ich państwa, ufundowanego na zasadach niesłuchanie prymitywnych, właściwie nie posiada pierwiastków tragedji, jako skutek naturalny ich oporu przeciw prawdzie życia. Jednak upadek ten wzmógł istotnie do miary tragicznej posępnosć ich ducha, odwróconego od prawdy a łaknącego panowania złudy, którą przywoływali całą siłą swej zmysłowości. Odkąd się rozproszyli, wszelka opozycja przeciw prawdzie życia i prawdziwym jego wartościom, wszelka filozofja wykopująca przepaść pomiędzy materją i duchem i odsuwająca Boga i znacność pomiędzy abstrakcją, wszelka etyka pobłażająca prawu pięści lub pieniądza, wszelkie usiłowania urabiania dziejów wbrew ich wewnętrznemu motorowi a zgodnie z scenarjuszem dyplomatycznym — jeśli nie wychodzi od nich samych, to zyskuje w nich najżarliwszych adeptów, wyznawców, apostołów.

• • • • •

Gdy wchodzę do przepelnionego kinematografu i postrzegam, że 90% publiczności są to Żydzi, uważam to za rzecz naturalną, konieczną, nieuniknioną...

Daleki jestem od twierdzenia, iżby pociąg do kinematograficzności życia miał być cechą specjalnie żydowską. Jest to cecha ogólnoludzka, jedna z ogólnoludzkich cech ujemnych lub łatwo w ujemne przeobrazić się mogących. Widzimy ją wplecioną do życia osobników i narodów całego świata i z większym lub mniejszym natężeniem zabarwiającą ich dzieje, ale tylko w historii Żydów postrzegamy tę cechę, jako ich motor dziejowy, dzięki któremu dzieje ich są takimi, jakimi są, i innemi być nie mogły. Stąd — to, co u kogo innego jest przygodą, zdarzeniem, utrapieniem chwili, zboczeniem, dającym się sprostować lub przynajmniej nie pociągającym za sobą skutków dziedzicznych, u nich występuje jako stan stały, jako dziedziczna psychoza narodu. Stąd obecność ich — gdziekolwiek będą — staje się ogniskiem zarazy ducha, która rozchodzi się jak opar zatruty, tem zjadliwszy, że lotny, pochłaniany przez zdrowe płuca niewiadomo kiedy i niespodzianie porażający ośrodki woli swym technieniem pesymizmu, gorzkiej pretensji do życia i nienawiści ku jego prawdzie — moralnej, dziejowej, wszelkiej. Stąd wreszcie — niebezpieczeństwo dla nas, tem groźniejsze, iż idzie i od zewnątrz i od wewnątrz.

Ktoś kiedyś opowiedział mi dwa swoje spostrzeżenia w następującem zestawieniu. Pewnego razu postrzegł pająka, który gęstą swą siatkę rozsnuł równolegle do jednej z górnych szyb okna. Mucha, spacerująca po dolnej szybie, wkraczała na górną,

a doszedłszy do jej krawędzi, podrywała się do lotu i odrazu wpadała w siatkę. Innym razem ów ktoś przejeżdżał przez wieś; chaty były ubogie i niepozorne, ale przy każdej z nich to drzewko jakieś, to krzaczek zieleniejący, to żółta tarcza słonecznika na wysokiej łodydze, a w okienkach doniczka lub rąbek białej firanki, ale u wylotu wsi postrzegł dziwnie odrażającą chatę, przy której ani drzewka, ani krzaczka, ani kwiatka lub trawy nawet, natomiast przez mętne szyby okienka wyglądała twarz Żyda, pilnie i uważnie obserwującego każdego, kto do wsi wjeżdżał lub z niej wyjeżdżał.

Polska naogół jest w gorszym położeniu, niż mucha, używająca spaceru pod siatką, rozsnutą równolegle do szyby, lub ubodzy mieszkańcy owej wsi. W gorszym — bo pająk usadowił się w takim miejscu, że nici swe uwiązywać może bezpośrednio w wnętrzu naszej duszy.

Co to jest kinematograficzność życia? Gdy idzie o odparcie niebezpieczeństwa trzeba zdać sobie sprawę z jego natury.

Kinematograficzność życia jest to odwrócenie normalnego stosunku życia do prawdy i złudy — czyli takie znalogowane przyjmowanie złudy za prawdę, iż człowiek odzwyczaja się od prawdy i może przestać reagować na nią. Jest to — mówiąc wyraziście choć po prostaku — chodzenie



do góry nogami — z skutkami, oczywiście, takimi, jakie spotkać muszą osobę, która, spacerując po brzegu i widząc odbicie tegoż w wodzie, zapragnie spaceru po tem właśnie odbiciu. Skąpie się lub utonie.

Nałogowym kinofilem jest taki Wilhelm II, który w zapędzie kinematograficznie rozbujalej wyobraźni widział siebie władcą świata, obróconego na wspak i rządzonego nie zacnością, lecz pruską pięścią. Nałogowemi kinofilami są tacy Trockij i Leniny, usiłujący brudne i dzikie kłamstwo wmówić jako prawdę społeczną, narodową i polityczną. Nałogowymi zwolennikami kinematografu są bezwątpienia wszelcy doktrynerzy czyli ludzie, którzy noszą w kieszeni chusteczkę przygotowaną do zawiązania w niej słońca, ludzie, którzy z miną niezachwianej i doświadczonej pewności usiłują wepchnąć bujny pęd życia w foremkę własnego wyrobu — zdaniem ich najlepszą i opatentowaną! Gdzież, gdy nie na gruncie kinematograficzności, wyrósłby mogły kwiaty futuryzmu naszego o specjalnie nalewkowskim zapachu — i obce? W Rosji młoda generacja poetów podała swej odrodzonej ojczyźnie wiązanek swego kwiecica poetyckiego, o którym nawet sowiecki minister oświaty powiedział, iż taką woń daje się zauważyć tylko w specjalnych ubikacjach, gdy te są bardzo nieporządnie utrzymane. W Paryżu komuś udało się »przewyciężyć« melodję, rytm, ton — i zmusić orkiestrę do wydania dźwięków »jakby jednocześnie puszczono w ruch syreny okrętowe,

maszyny do przecinania żelaza, niesmarowane osie kół kolejowych, gwizdki automobilowe; zowie to się »bruityzmem«, nową muzyką — jest zaś »kinematograficznością« w sztuce. Bandyta, tak dziś pospolity, jest jej sympatykiem. W zakresie moralności płciowej kinematograficzność życia również zbiera obfite żniwo swych ofiar na wszystkich szczeblach wieku.

Oczywiście, nie kinematograf spaczył życie, lecz życie spaczone przeznaczyło mu niewłaściwą rolę. Pretensje do ekranu byłyby tyleż uzasadnione, co pretensje i wyrzuty, zanoszone do milczącego ciecia, na którego odlanie piękne córki Izraela ofiarowały Aaronowi swe złote zausznice! Na odbywające się na nim igraszki cieni ekran jest tak obojętny, jak niewzruszenie obojętny był cieciec na moralność piękności izraelskich. Jeden i drugi na wszystko się zgadzają, wszystko akceptują, wszystkiemu przytakują i nie zaprzeczają, gdy ktoś całą odpowiedzialność zrzuci na nich.

•Drogoście kupieni! Nie stańcież się tedy znów niewolnikami ludzkimi« — mawiał św. Paweł do tych, przed którymi otwarła się prawda życia, do — wyzwolenców z niewoli kłamstwa.

Nie wiem, jak Polska oblicza — czy tanio, czy drogo nabyła dziś swą wolność polityczną. Sądząc z tego, jak łatwo zhołdowała nas kinematograficz-

ność życia, zdaje się, iż oblicza — że nie tylko tanio, lecz nawet — za bezcen. Byłby to błąd, lecz błędzić jest rzeczą ludzką, podobnie jak ludzką również jest rzeczą i obowiązkiem dochodzić źródeł błędu. Być może, iż brak oddalenia perspektywicznego, bliskość rzeczy przeżytych — sprawia, iż nie obejmujemy i nie doceniamy ich właściwego wymiaru, i że to, co po latach napelniać będzie głębokiem wzruszeniem i zachwytem pierś przyszłego Homera polskiego, nam dziś homerycznem się nie wydaje. Nasz dzień dzisiejszy, jego powszedniość szara i zatroskana trzyma w uścisku swym wstrętnym i lepkiem homeryczność obrony Lwowa lub bitwy pod Warszawą; gdy dzień ten zgaśnie, a śmierć rozluźni zacisnięty dziś uścisk, rzeczy te odzyskają swą gigantyczność i piękno i prawdę. Dla nas ta prawda jest poniekąd ciężką, zbyt ciężką; jest to wazkie, ciężkie złoto dziejów. Że my je możemy z lekkim sercem wymieniać na lekkie i nędzne liczmany kinematograficznych wzruszeń życia, to do pewnego stopnia tłumaczyć się może psychozą bardzo pospolitą, która sprawia, że po wielkich wstrząśnieniach jakiegokolwiek bądź natury człowiek szuka jakiegoś odurzenia, czegoś, co by odsunęło od niego rzeczy nie na miarę codzienną skrojone. Jednakże zbyt powolność dla tej słabostki człowieczej może się stać w skutkach zdradziecką. Przedewszystkiem nikt na świecie nie dowiódł, by filisterstwo miało być niezłomnem prawem życia, od którego można się wyłamać tylko wtedy, gdy — dzieje wezmą nas za



kark i wstrząsną nami, nie zapytując, czy to się nam podoba, czy nie. Św. Piotr, z którym nawiązania znajomości sercem i myślą życzyłbym szczerze właśnie na momenty podobnej psychozy — owóż św. Piotr we wtórym swym liście powszechnym powiedział nietyle uprzejmie, co zgodnie z codziennym widokiem rzeczy, że: »świnia, po umyciu jej, wraca do walania się w błocie« (II Petr. 2—22). Myśmy się umyli we krwi tych zacnych dzieci, które broniły Lwowa, a dziś uśmiechnięte i rade z siebie śpią pod krzyżykami, pod całym lasem krzyżyków na cmentarzu, jakiemu równego swą świętością omal że nie znaleźć na świecie. Myśmy się umyli we krwi ks. Skorupki i młodzieńczego rycerstwa pod Radzymi-  
nem, oraz wszystkiego rycerstwa, które szło, by przywrócić obalone słupy graniczne tam, gdzie po-  
wbijali je ongi dostojni miernicy granic Rzeczy-  
spolitej. Po stokroć święte umycie! Lecz po takim umyciu powiedzieć sobie, że to było »od święta«, zaś na codzień możemy sobie wrócić, jak owo nie-  
czyste stworzenie, do walania się w błocie, to zna-  
czyłoby przywrócić słowom tegoż św. Piotra, głę-  
boką melancholją owianym: »Lepiejby wam nie  
poznawać drogi sprawiedliwości, niżli, poznawszy  
ją, odwrócić się od podanego wam rozkazania świę-  
tego«. Naturalnie, bo wtedy w cóż się obraca cena,  
za jakąśmy »kupieni«!

A co do tej ceny, to -- oddawszy z ukłęknię-  
ciem najniższem i zachwytem i czcią najwyższą  
hołd dzielnym i zacnym synom społecznej Polski —

trzeba w imię świętej i odwiecznej »drogi sprawiedliwości« powiedzieć, że to jednak nie oni wywalczyli, nie oni »kupili« wolność Ojczyzny. Ta wolność była kupiona bezprzykładnie drogo już przed wiekami, za cenę taką, jakiej, zda się, żaden inny naród nigdy nie zapłacił i nie byłby zdolny zapłacić. W cenę tego kupna weszły i prawowitem je uczyniły serca, które, od Mieczysławowych i Bolesławowych poczynając, poukładały się jedne na drugie, jak cegły muru, spojone wiecznym cementem miłości i poświęcenia dla Ojczyzny. Do skarbonki: »Na okup wolności!« — byli-li kto w Polsce, coby ofiar nie niósł z krwi, myśli, czynu? Niosło je rycerstwo i duchowni, i lud rolniczy, i mieszczanin, myśliciel, uczony, poeta, pieśniarz — powiedziałbym, że i skowronek polski i niwa polska i zadumane wnętrza borów polskich. Co sercem, myślą, tchnieniem i rdzeniem było polskie, to płaciło, nie targując się i wykładając skromnie wszystko, co miało lepszego. Za wolność płaciła Polska tem, co miała najlepszego — prawdą swego życia. Lecz prawdę wzięła — od Chrystusa... I oto tu rodzi się poczucie jakiejś wielkiej odpowiedzialności i ciężkiego długu. Tu się nam zadumać!

Okup wolności Polska płaciła prawdą swego życia, prawdą serc zacnych, prawdą myśli nieulekłej — państwowej, narodowej, społecznej, filozoficznej, poetyckiej, prawdą, która obruszała i o wściekłość przyprawiała obcą, kłamliwą gawiedź, prawdą, którą skwapliwie zakrakały kruki,

sępy, wrony i gawrony, sowy i puchacze Europy i wszyscy, do których powiedziano: »Odrzuciły mocarstwa kamień wasz od budowy europejskiej; a oto kamień ów stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy!« Lecz skoro pobrała Polska swą prawdę od Chrystusa, tedy któż to właściwie wniósł okup za nas? »Drogoście kupieni!« O tak! Jego krwią.

Dziś, w momencie budowania nowej państwowości rozważyć stosunek nasz do Chrystusa jest obowiązkiem, od którego uchylać się rzecz to byłaby niemęska i nieobywatelska, bo nikczemna, jako uchylanie się od zapłaty długu Jemu i przeszłości, zamarłej w dziejach, lecz w sumieniu i sercu polskiem zawsze przytomnej i żywej. Nic się nie zbuduje z omamień, nic nie zbuduje szaleństwo, fanatyzm i doktrynerstwo; buduje czyn męski — rozważny i zacny, w zupełnej równowadze moralnej zrodzony. Jakie są tej równowagi warunki? Te same, co i fizycznej. Równowaga następuje, gdy ciało znajduje się pod działaniem sił wzajemnie przeciwnych i równych, t. j. znoszących się wzajemnie. Ciało stoi tem pewniej, czyli opiera się działającym nań siłom tem skuteczniej, im obszerniejszą ma podstawę, im jest cięższe, oraz im niżej, bliżej podstawy tkwi jego środek ciężkości. Trzeba więc uprzytomnić sobie, jakie pierwiastki duchowe



posiadają najwyższy — mówiąc za fizyką — ciężar gatunkowy, te zaś, ułożone w szeroką podstawę, wytworzą, muszą wytworzyć stan równowagi moralnej, opierającej się działaniu najcięższych sił wywrotowych.

Otóż przedewszystkiem z niezachwianą pewnością możemy powiedzieć, iż omamy, złudy, wytwory halucynacyjne, wszystko co niema w sobie soków żywych i nie tkwi korzeniem w rzeczywistości, a więc wszelkie abstrakcje, wszelkie konstrukcje wyłącznie logiczne, wyłoniłone nie przez pęd życia, lecz w intelekcie, oderwanym od życia, a więc i wszelkie doktryny — nie posiadają żadnego zgoła ciężaru gatunkowego. Nie ważą nic i nie działają pozytywnego nic. Działanie ich jest wyłącznie ujemne, to znaczy, iż umieszczone w rdzeniu ducha wytworzą tam puste komory; nie tylko wagi mu nie przydadzą, lecz właściwą wagę jego rozrzedzą; nie tylko podstawy jego nie rozszerzą, lecz raczej od podstawy oderwą i łupem uczynią pierwszego wichru, jaki nań naleci. Takim łupem, niestety, stała się zacna w swym rodowodzie słowiańskim dusza rosyjska, w której ucisk długotrwały i bezlitosny wytworzył posępne nurty, te zaś ją przywiodły do potrzeby oszalamiania się złudami. Usta chciwie szukały wódki; umysł łaknąć począł trującego wina pesymizmu; duch — opustoszał.

Cóż jest ważkiem? Tylko to, co jest rzeczywistem. A jak poznać rzeczywiste? Łatwo, bo rzeczywistem jest tylko to, co jest niewzruszone i nie-

zniszczalne, gdyż byt jest zawsze bytem i nie może się stać niebytem.

»Nieniszczalne« okreśłmy tak: jest to to, co nie ma widomego lub domyślnego początku. Dlaczego mówimy tylko o początku? Bo co nie ma początku, to nie ma i końca, każdy bowiem koniec otwierałby pole do nowego początku, rzeczy zaś, któreby nie płynęły i dały się zamknąć między jakimś początkiem i końcem, czyli rzeczy znieruchomionych, niema zupełnie, i wyobrazić ich sobie nie możemy<sup>1)</sup>. Początki i końce mają tylko nieważkie złudy i omamy, halucynacje, martwe, logiczne konstrukcje i doktryny.

Nieniszczalnym tedy i niewzruszonym jest to, co, płynąc z prąródła bytu, o których początku nic nie wiemy, ani go się domyślać możemy, nie w swem odwiecznem płynieniu na ważkości nie traci. Gdy tym prąródłem bytu czyli Rzeczywistości damy miano Boga, zaś istotę jego uprzytomnimy sobie jako Dobro, tedy nieniszczalnym i niewzruszonym jest to, co idzie z przyrodzenia boskiego. Czemuż jednak — skoro na świecie zło rozpościera się bezczelnie, pyszniej i wielmożniej niż dobro — nie damy prąródłom bytu miana Szatana? Dlatego, że postawiliśmy warunek, iż uznamy za nieniszczalne i niewzruszone tylko to, co w swem

---

<sup>1)</sup> Nie mogę tu powtarzać wszystkiego, o czem mówiłem w *Domu Cedrowym*, więc muszę (czynię to z największą nieśmiałością) prosić czytelnika, by zapoznał się z tą książką, wielu niemi powiązaną z niniejszą.

odwiecznem płynieniu nic na ważkości nie traci. Otóż wagę zła można zawsze obniżyć przez dobro, zaś wagi dobra w żadny sposób obniżyć nie można. Mimo całej swej pyszności zło jest zniszczalne, dobro — nie. O początku zła można coś mówić. Pismo św. upatruje ten początek i zdaje się słusznie — w pierwszym oporze, postawionym woli Boga. O początkach dobra nic się nie da powiedzieć, jak i o początku ruchu. Przed naszemi oczami staje niewymierna mgławica wszechświata już rozedrgana i w swym bezpoczątkowym ruchu wytwarzająca zarodkie słońce i światów. To już było dobrem, bo było stawaniem się, a tylko dzięki staniu się świata i nas w nim poznaliśmy dobro. Ale i to, co było przedtem stawaniem się, już było dobrem, bo rzeczy (byty) istotne płyną, czyli posiadają ciągłość swej istoty, więc moment stawania się świata, co było dobrem, był powiązany z poprzednim momentem dobra. Początku tedy — niema! Skoro zaś zło ma początek, tedy już zupełnie śmiało możemy mówić i o jego końcu, czyli zaliczyć je do rzędu czynników, które jak złudy i omamy nie mogą działać nic pozytywnego, zaś w swem ujemnem działaniu rozrzedzają ducha i wagi mu ujmują. Więc nietylko nie przykładają się do wytworzenia owej szerokiej i nieugiętej podstawy dla równowagi moralnej, lecz raczej są wichrem sił, w podstawę tę zapamiętałe bijących.

Zatem podstawę ważką ducha ludzkiego tworzą jedynie pierwiastki boskie. Nowy zakon zowie



je prawdami Chrystusowemi. Prawdy to nie rozumowe, lecz żywe, chodzące w ciele i krwi, lepiejby je więc zwać prawdami życia Chrystusowego, postępowania, czynu Chrystusowego. To doprawdy ważkie złoto! Św. Piotr, skromny w ciele a w duchu nieugięta opoka Kościoła Chrystusowego, powiedział, iż prawdy owe »wielkie i kosztowne« dane nam są poto, byśmy przez nie stali się »uczestnikami przyrodzenia Boskiego«. Nie znamy szczytniejszej nad tę rewelacji, nie znamy prawdy, któraby taką dumą, takim poczuciem godności i wysokiego dostojęstwa nas pokrzepiała, jak te słowa Piotrowe. A tym słowom żadna mądrość kłamu nie zada, bo skoro idziemy z praźródła Boga, tedy w najgłębszym rdzeniu naszego ducha mieć Go musimy. I to jest ta szeroka podstawa, która żadną miarą z pod nas sama usunąć się nie może. Lecz my z niej zejść i od niej się usunąć — możemy.

Tak właśnie postąpili Żydzi, ulegając duchowemu bezwładowi, który ich trzymał przy starym zakonie, lubo ten zniesiony został »dla jego słabości i niepożytku« <sup>1)</sup>. W nowym stało się według słów psalmisty: »Przysiągł Pan a nie będzie tego żałował: Tyś jest kapłanem na wieki według porządku Melchisedekowego« (Ps. 110, 4), czyli, iż zakon pozyskał najwyższego kapłana nie z rządu

---

<sup>1)</sup> Św. Paweł do Żydów (7—18). »Bo niczego do doskonałości nie przywiódł zakon (stary), tedy na miejsce jego wprowadzona jest lepsza nadzieja, przez którą się przybliżamy do Boga« (tamże, 19).

śmiertelników, lecz »świętego, niepokalanego, odłączonego od grzeszników i który stał się wyższy nad niebiosy« <sup>1)</sup> — samego Boga. Lecz była nieszczęściem Żydów skłonność do złud i omamień, w której wyniku powstaje opaczny światopogląd, uznający za rzeczywistość tylko to, co daje się ująć ręką; przenieśli tedy kapłana w ciełe i szacie człowieczej nad Boga. Odrzucili nowy zakon; lecz czyż stary nie był od Boga? Bezwątpienia, lecz w nowym został ulepszony. »Gdy zaś Bóg mówi: Nowe, tedy stare czyni się wiotkiem« <sup>2)</sup>. Stary zakon zwiotczał, zwiotczała podstawa ducha żydowskiego. Żyd stał się wichrem niespokojnym i niosącym spustoszenie.

Dusza polska, wychowana na kołysankach swych spokojnych, zadumanych borów, kąpana w jędrnem źródle mitologii słowiańskiej — pogodnej, bez nadmiaru lęku korzającej się przed wielkimi siłami przyrody, w prostocie serc zdrowych wielbiącej ich piękno, grozę, gniew i uśmiech — chciała piła z żywego źródła prawdy Chrystusowej, rozmiłowawszy się w jej pięknie i słodkiej, zadumaniej powadze. Zapytana przez Chrystusa: »Chceszli cierpieć dla tej słodkiej prawdy?« — odrzekła z właściwym plemieniowi swemu spokojem i godnością: »A czemużby nie!«

Wtedy Chrystus wniósł pierwszy okup za wolność Polski.

Odtąd uczyliła Polska prawdy Chrystusowe

<sup>1)</sup> Św. Paweł do Żydów (26).

<sup>2)</sup> Do Żydów 8—13.

swemi własnemi, czyli stały się w niej żywemi, chodzącemi w ciele i krwi. Szła realizacja tych prawd mozolnie, wśród upadków, potykań i grzechów, boć byliśmy ludźmi, nie aniołami, lecz szła i następowała. Temu zaś, iż następowała, świadectwo dała Polska swem męczeństwem.

Wtedy wniesiony został drugi okup za wolność Polski.

A teraz trzeba się zadumać. Bo niewątpliwie zesłaliśmy nieco z naszej duchowej podstawy i znów u Chrystusa zadłużyli; kto wie zatem, czy nie będzie potrzebny trzeci okup, i należy pomyśleć nad tem: kto wniesie i czem?

Mam za bezwzględną prawdę — nie teoretyczną, lecz która żywie w sercu — słowa Jana św. w liście pierwszym, powszechnym: »Jeśli by kto rzekł: Miłuję Boga, a brataby swego nienawidział — kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi oczyma, jakóżby mógł miłować Boga, którego nie widzi?« Nie mam nienawiści do Żydów; zawsze głęboko spólczuł ich tragedji, której istotę, zdaje mi się, iż zrozumiałem — i, jak brat, biadałem nad ich niedolą. Ale nie wolno mi zamykać oczu na niebezpieczeństwa, z ich ducha niezrównoważonego dla nas płynące, i mam za pewnik, że to, iżeśmy z naszej opoczystej podstawy ducha nieco zesłali i to w momencie, niestety! gdy potrzebna nam



jest właśnie jędrna i nienaruszona równowaga moralna, stało się nietylko za przyczyną naszych własnych niedomagań duchowych, czyli złych a zastarzałych narowów, oraz powszechnie rozpętanych przez wojnę sił, ujemnie na tę równowagę działających, lecz i wskutku długiego kontaktu z duszą Żyda, która sama w sobie już jest rozpętaniem niespokojnych wichrów. Szarpie ją głód ducha, głód tej prawdy, którą odepchnęli. Zastąpienie realnej i niezłomnej podstawy ducha omamami, żywej wody Nowego Zakonu nieuchwytnymi oparami — napełnia ich goryczą. Piją pesymizm, jak prostak wódkę. Gromadzą bogactwa przechodnie, złoto na złoto i dla swych niewiast zausznice na zausznice — a głód nie nasycy się, lecz wzrasta. Chcą władzy; owszem, zdobyli ją w Rosji; czy to nasyci głód? Ani na chwilę. Będą więc kusili się na władzę nad światem, a w duszy wichrowej coś szeptce: »I to nie pomoże, i to nie pomoże!«

Do Polski dziwny jest ich stosunek, powiedziałbym, że zupełnie taki, jak do Chrystusa: nienawiść zmieszana z tęsknotą. Psycholog i artysta w niezrównany sposób uchwycił jeden moment tego stosunku w »Srułu z Lubartowa«. Ale zjawisko, tam poruszone, zatacza daleko szersze kręgi. Wogóle o naszych Żydach rdzennych, nienapływowych można powiedzieć, iż, nawet katując Polskę, męcząc i kalecząc — wyciągają ku niej tęsknie ramiona. Ja bym tych ramion nie odepchnął, ale jak uczynić, by z uściskiem nie spłynęła zaraza ducha? Jednak Chry-

stus lub św. Franciszek z Asyżu bez obawy ściskali trędownych. Jest zatem pewien wysoki stopień hartu ducha, w którym wszelkie obawy giną.

Trzeba go zdobyć! Trzeba go zdobyć; to będzie rozwiązaniem kwestji żydowskiej, której ani mieczem, ani piroksyliną, ani w żaden gwałtowny sposób się nie rozwiąże. Zdobyć hart, tak, — ale myśmy nasz dawny nadwątlili. Jak go odzyskać? Walką z trudnościami, jakie każda ewolucja duchowa następuje, zwrotem do sumienia — bo w niem żyje jasna, niepomięta, jędrna i święta przeszłość Polski.

Łatwem to zadanie nie jest.

Ale bez trudności — nic nie można zdobyć. Zwłaszcza — dobrego. Gdyby miało być inaczej, byłby to dla ludzkości wyrok zagłady, zaspanie się na śmierć lub zanudzenie się na śmierć. Błogostan, pozyskiwany bez trudności, zowie się śpiączką lub nudą — jest zaś, bez względu na tę lub ową nazwę — śmiercią, bo życie na jakimkolwiek bądź szczeblu zawsze i wszędzie jest pracą. A praca — przeczytacie w Energetyce — jest to pokonywanie oporu; objawia się w ruchu ciał, hamowanym bezwładnością, tarcie, oporem powietrza lub wody i t. d. W życiu duszy — oporem nałogów. Zwrot więc do sumienia nie może się obyć bez pokonania pewnych trudności, wstrętów, niechęci, zakłopotania i nieukontentowania. Gdyby było inaczej, nie warto byłoby podejmować wędrówki do sumienia, lecz z drugiej strony wmawiać w siebie, że trudności są nie do pokonania i że niepodobieństwem jest żyć

bez kłamstwa, byłoby równie zabawne, jak gdyby marynarz odmawiał sobie przyjemności pobytu na ładzie dlatego, że, gdy wysiądzie na ląd — wydaje mu się, iż ziemia pod nim tańczy. Tymczasem wcale nie tańczy; to statek się kołysał, marynarz zaś ulega wrażeniu, które trwa siłą jedynie inercji.

Bronić się przed bezwładem, pokonać w sobie bezwład — oto hasło dla dzisiejszego, dojrzałego pokolenia Polaków. Ale nadzieja Polski nie ku temu pokoleniu wybiega. Nadzieją Polski jest dziatwa i matki, które ją wychowywać będą — i w tej dziatwie złożą okup trzeci.

3

LIST DO JULCI.

Kochana Julciu! — ten list mój do Ciebie jest jednym z tych listów »na przyszłość« pisanych, jakich mieści się kilka w *Domu Cedrowym*. Te Twoje »jutro«, w którym go odczytasz, nastąpi za lat dziesięć, dwanaście, może i więcej, gdy nasze »dziś«, które jeszcze wspólnie przeżywamy, już Ci się w pamięci mgłą owinie. Ja jednak będę tak pisał do Ciebie, jakby to nasze dziś miało trwać nieprzerwanie aż do owego jutra, a serca nasze wciąż bić miały tak blisko siebie, jak to bywa każdego wieczoru, gdy w kąciку kanapy przytulasz się do mnie i prosisz, żeby Ci coś opowiedzieć.

Wczoraj opowiadałem Ci o naszym dawnym



ogrodzie w Lublinie, gdzie upłynęło moje dzieciństwo. Jakże mi zapachniał! Zdawało mi się, że naprawdę oprowadzam Cię po nim, i zrywamy narcyze i irysy, żem nagiął do Ciebie rozkwitłą gałąź wiśni, a Tyś wciągała słodką woń jej białego kwiecica.

Po tem opowiadaniu, gdyś już poszła do łóżeczka, moje serce, jak oczarowane, wciąż pieściło tę samą gałąź w jej majowej krasie i — przywoływało, przywoływało tęsknie kogoś... Coś zaszemrało cicho, może drgnął liść wiśniowy lub na kwiatek padła kropla rosy, może łza czyja. Tęsknota zrobiła swoje i do ogrodu, który tylko co opuściłaś, przywiodła tę, co była jego białą lilją — moją Matkę. O niej to chciałbym Ci co opowiedzieć »na przyszłość«.

Wypadków jej życia nie będę poruszał. Możeby to ją uraziło. Człowiek to był cichy i skromny, z tych co nieradzi, by ich widziano. A jednak ci cisi, których świat nie widzi, ciepłem swych serc podsycają niegasnący znicz Narodu. Powiem tyle, co o każdej dobrej matce-Polce z czasów naszej niewoli powiedzieć wolno i należy. Każda była bohaterką. Stawały się bohaterkami w codziennej, nieustannej i niezłomnej walce o wolność dusz swych dzieci, o zachowanie ich polskości.

Nie dotykając anegdotycznej strony jej życia, chciałbym Ci dać wizerunek jej duszy. Mam oto w ręku jedną rzecz, którą codzien z czcią do ust podnoszę, bo w niej w dziwnie czystych i jasnych rysach ten właśnie wizerunek się odbił. Jest to ta

czarna książeczka, w którą co roku, gdy maj rozkwitnie, Ty z Twym starszym braciszkiem wkładacie po parę łańcuszków porobionych z kwiatków niebieskiego lub białego bzu. Prosiłem was o to, i wy o tem pamiętacie i co roku między poźółkami kartkami tej książki zasuszacie nowe kwiecie, cała też zapachem bzu przeszła. To był ulubiony kwiat waszej Babki, a ta książka jest jej książką do nabożeństwa. Czarnem płótnem okleiły ją jej własne ręce, i cała napisana jest jej ręką już w tych latach, gdy poczęła niedowidzieć i gdy jakoś łatwiej jej było czytać własne, wyraźne pismo, niż druk, na którego bładość zawsze narzekała.

Ta książka dostała mi się już po jej śmierci. Przeglądając ją, postrzegłem, iż wiele modlitw posiada niewątpliwą cechę jej własnego układu. Przepiszę tu jedną z nich, gdyż w niej odbił się cały człowiek. Cały człowiek czyli najbardziej skupione jądro jego duszy odbija się, dziecino moja, w tem, w czem tkwią jego najwyższe ukochania. Ta modlitwa codzienna nosi nagłówek: *Za dzieci i wnuki*, a więc i za Ciebie, kochanie, i to także powód, dla którego ją wybrałem.

»Boże Wszechmogący! Ofiaruję Ci ten pacierz i wszystkie modlitwy moje dnia dzisiejszego na chwałę Twoją, za dzieci i wnuki moje, dla uproszenia tych wszystkich łask doczesnych i wiecznych, które są im potrzebne. Boże mój, dodawaj im siły i wytrwałości do pracy, do znoszenia trudów, przykrości, niepowodzeń i nieszczęść, jakimi Ci się po-

doba ich doświadczyć. Boże — błogosław ich naukom, dążnościom zacnym i zamiarom uczciwym; dopomagaj, aby obowiązki swoje wobec Ciebie, Panie, i Ojczyzny coraz lepiej, rozumniej i pożyteczniej spełniali — i spraw, aby życie ich upływało z zadowoleniem w duszy, w zgodzie z sumieniem, w poszanowaniu u rodaków, w miłości i zgodzie rodzinnej, a szczególnie w łasce i z błogosławieństwem Twojem. Niech się spełnia nad niemi wola Twoja święta, spraw tylko, aby Cię nigdy wielkimi grzechami nie obrazili i byli zawsze godni łaski i błogosławieństwa Twojego, przeto chroń ich, Boże, od wszelkich złych wpływów i pokus do grzechu. Daj, aby się nigdy fałszywą mądrością obłąkać nie dali, wiary, pobożności swej i miłości ku Tobie, Panie, i Ojczyźnie nie zatarcili, w wierności swej dla Ciebie i Ojczyzny niezłomnymi byli i w niczem nie stosowali się do świata i jego wymagań, przeciwnych nauce Chrystusowej i pożytkowi Ojczyzny. Oświecaj ich, Panie, łaską Ducha św. i umacniaj w nich wiarę w zacność, prawdziwość i doskonałość religji katolickiej, niech się starają znać i rozumieć ją coraz lepiej i całą duszą i sercem trwają w niej do śmierci. A jeżeli zgrzeszą, Boże, nie karz ich surowo, Dobry i Miłosierny Ojcze, ale ratuj ich i spraw, aby się do Ciebie nawrócili, poprawili, żałowali, pokutowali, łaskę i błogosławieństwo Twoje odzyskali napowrót. Krzyżu Chrystusowy, bądź tarczą i obroną dzieci i wnuków moich po wszystkie dni ich życia. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.



Moje dziecko! Jeśli będziesz miała kiedy córkę, uczynisz mi tę radość, że przekazesz jej powyższą modlitwę. Bo widzisz, kochanie moje, rodzina polska — a pewnie i każda inna, gdy posiada poczucie narodowe i dba o jego pielęgnowanie — jest, w powiązaniu swych pokoleń, właściwie jednym człowiekiem, tyle, że bardzo długo żyjącym. Żyje ten człowiek tak długo, iż w niektórych momentach jego pamięć blednie i zanika. Są to momenty śmierci jednych pokoleń i narodzin nowych. Lecz skoro tylko to nowe pokolenie podraść zaczyna — pamięć wraca a z nią poczucie ciągłości bytu. Mówiłem już w *Domu Cedrowym*, iż wielkie prawdy rodowe, plemienne i narodowe, a z nich największą jest prawda Chrystusa, trwają i przechodzą z pokolenia w pokolenie raczej przez matki, niż przez ojców. Bo bierze się je z mlekiem matki i w pieśszczocie jej słodkich ust, bo naszeptuje je ona dziecku wtedy, gdy w niej się mieści jeszcze cały jego świat. Wpływ matki jest jak to powietrze, którem dziecko oddycha. Matka i dziecko, to byty w szczególny sposób spojone z sobą i z Bogiem.

Polska przeżywa ciężkie chwile; coś w niej zbladło i rozrzedniało jakby w chorobie. Padła jakaś zaraza. Grozi jej już nie jarzmo niewoli, lecz stokroć gorzej, bo śmierć ducha obłąpionego z dziedzictwa Chrystusowego, za które i sam Chrystus i ona już dwukrotny a wielki okup wnieśli. Żyłaby tem dziedzictwem, gdy je straci — oto będzie jej koniec, nie z wyroku ludzi — jak było czasu roz-

biorów, lecz z wyroku boskiego — bezpowrotnego i żadnym już okupem odmienić się nie mogącego. Aby wyrzucić z siebie jad, otrząsnąć się i okrzepnąć potrzeba nowych pokoleń. To też jej nadzieja — w matkach.

Jestem zupełnie pewny, że rzeczy, o których mówię, Ty sama znajdziesz w swem sercu i że w pewnym momencie wróci Ci pamięć, i wróci to, co czuła Twoja Babka, układając swą modlitwę codzienną. Chcę Ci tylko przyjść z drobną pomocą, podając Ci pamiątkę słodką i pokrzepiającą, bo i mnie ileż razy pokrzepiła myśl, że ktoś się modlił za nas tak, jak Ona się modliła.

Dam Ci jeszcze drugą rzecz. Już w *Domu Cedrowym* zapowiedziałem przedruk książeczki, którą Matka moja napisała p. t. »Kobieta w rodzinie«; zaznaczyłem tam, iż książka ta i swym stylem i poziomem swej skromności i prostoty bardzo odbiega od społecznego traktowania sprawy kobiecej. Niemniej sędzę, że skreślony tam ideał »Kobiety w rodzinie« ma cechy niewiedzące, bo jest oparty na niewzruszonej i niezniszczalnej podstawie prawdy Chrystusowej, którą Polska uczyniła prawdą własną. Wartością tej książki jest to, iż powstała nie z przesłanek rozumowych, lecz stąd, że Matka moja i w bliższym i dalszym obcowaniu spotkała zacne Polki i, patrząc na nie z szacunkiem i miłością, kreśliła tę swoją syntezę Polki »w rodzinie«. Przeznaczwszy tę pracę do druku, naówczas bardzo skrupowanego, nie mogła autorka wypowiedzieć się zu-

pełnie szczerze; pewny jestem, że nie dopowiedziała wielu rzeczy najwyższej wagi. Książeczka ta była ocenzone w r. 1878, czyli w czasie ogromnego ucisku i knebłowania ust. Wydana została prywatnym nakładem <sup>1)</sup>, drukiem M. Ziemkiewicza i W. Nowakowskiego w Warszawie; ogłosiła ją Matka pod pseudonimem »Bogumiły«, co było tylko spolszczeniem jej imienia, Teofili. Książeczka w 16-ce, na 79 stronach, drukowana była w nieznaczonej ilości egzemplarzy, rozeszła się w szczupłym gronie bliższych; w handlu księgarskim nie była.

Zamiaru swego teraz oto dopełniam — dla Ciebie, Juleczko, i wogóle dla kobiety polskiej. Nie kłopotuję się przytem wcale pytaniem, czy właściwą jest rzeczą do swojej książki przyłączać inną. I światopogląd i serca Matki i moje były i są tak z sobą spojone, że możemy i w książce i poza nią występować jak jeden człowiek, jedna myśl i jedna miłość Polski.

Powtarzam, Juleczko, że i Babka twoja i ja nie Ci nie chcemy narzucać, chcemy tylko przyjąć Ci z drobną pomocą, gdy będziesz się doszukiwała w sobie pamięci rodowej i narodowej. Czekają na Ciebie zadania wielkie, zwłaszcza jeśli zostaniesz matką, bo trzeci, okup za wolność Polski bezwątpienia wniesiecie wy, matki Polki, i wasza dziatwa,

---

<sup>1)</sup> Coś sobie przypominam, że do wydawnictwa przyczyniła się daleka Matki krewna, śp. pani Apolonja Matuszewska, dożywotniczka naówczas w majątku Główno, w kutnowskim, czy łowickim.



a będzie ten okup wniesiony pewnie nie czem innym, jak nowem męczeństwem. Wtedy ockną się wszystkie syny Polski i jarzmu niewoli, niedoli i grzechu kres uczynią.

A gdy kartki tej książki pożółkną, nie zapomnij, kochanie, każdego maju włożyć między nie łańcuszka z kwiatków niebieskiego lub białego bzu. Bardzo nas tem ucieszysz.

---

## KOBIETA W RODZINIE

RODZINIE



# KOBIETA W RODZINIE

PRZEZ

BOGUMIŁĘ

(TEOFILA Z KONWICKICH BRODOWSKA; UR. 1837, † 1911)



# KOBIETA W RODZINIE

PRZEŁ

BOGUMIŁE

(TEORIA I ROZWICZENIA BODOWSKA; OR. 1837, 1911)

## OD AUTORKI.

W czasie, gdy tyle wyższych umysłów tak gorliwie sprawy kobiet podejmuje, zuchwalstwem jest może z mojej strony w tej samej przemawiać kwestji; czynię to jednakże śmiało, bo sądzę, że obowiązkiem jest człowieka dzielić się zawsze z drugimi owocem pracy i doświadczenia swego; doszedłszy zaś, wskutek nałogowego od dzieciństwa zastanawiania się nad życiem, do pewnych, wypróbowanych i niezachwianych przekonań, pragnę i drugim tej zdobyczy ducha udzielić. Wprawdzie może nie powiem nic nowego; może te myśli zdolniejsi wypowiedzieli już pierwsi i lepiej; przypuszczenie to mnie nie zniechęca; lepiej, że już przede mną dano świadectwo prawdzie, w którą ja wierzę; zasady, które tu wyznaję, tem większej nabiorą mocy. Zresztą nie pragnę tworzyć żadnych nowych teoryj; nie chcę popychać kobiety na nowe i nieutarte jeszcze drogi; pragnę tylko, by idąc znanym Chrystusowym szlakiem, doszła nie do zaparcia się siebie i wyrzeczenia się świata, ale do jasnego i zdrowego pojęcia powołania swego i do zrozumienia od

*czego prawdziwa wartość kobiety zależy i w czym ona jedynie prawdziwe znaleźć może szczęście.*

Taki jest cel niniejszej pracy mojej, którą ro-  
daczkom moim poświęcam, siostrom moim w du-  
chu; nie tym połowicznym istotom bez ducha  
i serca, któreby mnie nawet pojąć nie umiały, dla  
których cel życia, szczęście, pragnienia, ograniczają  
się suknią, karetą i królowaniem w salonie; później  
smacznym obiadem, grą w karty i bezmyślną o cu-  
dzych rzeczach gawędą; a które, choć czasem od-  
powiedniego swym chęciom nie osiągają stanowiska  
w świecie, pozostają zawsze pasożytami społeczeń-  
stwa, w pośród którego żyją. Żeby w takich skrzep-  
łych piersiach zbudzić życie, potrzebaby chyba iskry  
z nieba; moje słowo nie może być na to dość po-  
tężne; nie do nich się więc odzywam i nie do tych  
także istot wyjątkowych, które do jakichś wyż-  
szych sądzą się powołane celów, którym nie wystar-  
cza dzisiejszy obowiązków niewieścich zakres, które  
radeby rzucić domowe ognisko i narówni z męż-  
czyzną bezpośrednio służyć społeczeństwu; ja bo-  
wiem takiej nie pojmuję ambicji i takich nie po-  
dzielam roszczeń, a one znowu nie chciałyby iść za  
mną drogą, którą wskazuję, bo ona dla nich za zbyt  
pozioma. Jest to tylko droga zwykłych przeznaczeń,  
domowych cnót, cichych poświęceń, na której gwiaz-  
da przewodnią jest miłość.

A teraz pobłogosław mej pracy czysty duchu  
mej Matki, który i z poza grobu czuwasz pewno  
nade mną w mej niedoli wdowiej. Tyś była anio-



łem stróżem mojego dzieciństwa, przewodniczką lat młodych, moją siłą w dniach próby i światłem w zwątpieniu. Tobie winnam każdą myśl szlachetną, każde lepsze uczucie, które się kiedykolwiek zbudziło w mej duszy. Twoim radom, natchnieniom, przeczuciom, z taką wiarą dawałam się zawsze prowadzić; prowadź więc i me pióro, podsuwaj wyrazy; niechaj i ta praca, tak jak wszystko w mem życiu, za Twojem dokona się natchnieniem i będzie hołdem godnym Twej pamięci.

I

CZEM JEST KOBIETA?

Przed niedawnym czasem dzienniki paryskie doniosły, że towarzystwo uczonych angielskich ogłosiło konkurs znaczny, naznaczając nagrodę temu, kto potrafi odpowiedzieć na pytanie *«ce que c'est la femme»*; opinia publiczna zaś utrzymywała, że nagroda ta nikomu przyznana nie będzie. Niewiadomo mi, jak się ta rzecz skończyła, w każdym razie tak zapytanie samo, jak twierdzenie publiczności zarówno poniżające było dla kobiety. Kiedyż więc nareszcie kobieta przestanie być zagadką? kiedyż świat naprawdę uzna w niej człowieka? Dotychczas, niestety! tego człowieczeństwa, często bardzo odmawiają jeszcze kobiecie i to właśnie w tej wyższej ucywilizowanej sferze, w którejby się tego mniej niż gdzie indziej spodziewać należało.

Zakochani i poeci nazywają kobietę aniołem, widzą w niej jakąś czarodziejską rusalkę, jakąś eteryczną istotę, godną ubóstwienia, ale niekoniecznie szacunku. Mężowie widzą w niej znowu nie już sługę i niewolnicę

(to rzadko się już teraz zdarza), ale tylko pełnoletnie, lecz niegodne usamowolnienia dziecię, istotę bierną, słabą, kapryśną, którą kochać, pieścić, pielęgnować, ale koniecznie na pasku prowadzić trzeba, a więc także szanować niepodobna. Tak zwany wielki świat widzi w kobiecie pustą, ustrojoną lalkę, będącą wprawdzie najpiękniejszą ozdobą salonu, ale służącą tylko za bawidelko dla mężczyzn, którzy chętnie przed nią zginają kolano i bałwochwalcze składają jej hołdy, lecz koniecznie lekceważyć ją muszą. Ci wreszcie, co to sami grzęzną w brudnej kałuży zepsucia i zatrutem tylko przyzwyczajeni oddychać powietrzem, nazywają kobietę szatanem, bo oni ocierają się tylko o te upadłe istoty, przedstawiające obraz ohydny, obraz potwornego moralnego kalectwa, a innych nie znają wcale i oceniłby też nie umieli.

Czemże jednak jest? czem powinna być zawsze kobieta? Kobieta, to nie anioł, to nie żadna nadziemską istotą, jak ją szaleńcom podoba się nazywać; to nie heroina z romansu. Kobieta, to nie ta bezduszna piękność, myśląca tylko o podobaniu się i stroju, i nie ta też nędzna, godna pogardy istota, nad którą wtenczas tylko litować się można, gdy nie z własnej winy powalała się w błocie. Kobieta, to tylko zwykła śmiertelniczka, to poprostu człowiek z niezatartem ducha piętnem. Kobieta, to córka, opromieniająca życie rodziców uśmiechem przywiązania, niewinności i zaufania bez granic. Kobieta, to dziewczę, marzące o miłości i szczęściu i nie mające nawet pojęcia o tem, że są na świecie jakieś brudne żądze i upojenia zmysłowe. Kobieta, to żona, odrywająca wybranego swego od doczesnych przyjemnostek, które go brukały, i otaczająca urokiem miłości życie poświęcone obowiązkom i pracy. Kobieta, to matka, dla której uśmiech dziecka najwyższą rozkoszą, wychowanie jego najświętszym obowiązkiem, szczęście jego najbardziej upragnionym celem. Kobieta

wreszcie, to ta chrześcijańska niewiasta, która w jakimkolwiek położeniu, na jakimkolwiek stanowisku, zawsze znajdzie kogoś, kogo będzie kochała, dla kogo będzie pracowała, kogo pielęgnowała, pocieszała, uczyniała, dla kogo się poświęci. Jeżeli jednak niekażda jest taka, jeżeli znajdują się kobiety (pomijam już te, które najniżej upadły) tak mało pojmujące obowiązki swoje, tak chętnie uganiające się za fraszką, z takim upodobaniem oddające się czczym światu przyjemnościom, tak skłonne do różnych grymasów, fantazyj, nedorzecznych wymagań, tak wreszcie mało baczne na tę godność niewieścią, której równo z życiem strzec winny, że tylko znalazłszy w mężu rozsądnego przewodnika, jako tako na właściwem swoim utrzymać się zdołają stanowisku — to doprawdy nie jest ich winą. To wina mężczyzn, którzy, hołdując najwięcej w kobiecie jej próżności, chcą, by ona zawsze pozostała zerem i służyła tylko ku ich przyjemności; to wina tych, co się trudnią jej wychowaniem, i strojąc kobietę w talenta, kształcąc nawet jej umysł, czynią to tylko w celu, żeby się podobać mogła i łatwiej męża znalazła, a o tem, żeby ją do samodzielnego przysposobić życia, nie pomyśla wcale. Tymczasem kobiecie samodzielność jest potrzebna koniecznie; samodzielność mówię, nie samowola, bo to wielka różnica; to nie ten brak wszelkiej uległości w córkach, nie chęć przewodzenia w żonach; to tylko zrozumienie swych obowiązków i umiejętność pełnienia ich bez czyjegoś steru.

Być może, że w Ameryce kobiety doszły już do takiej dojrzałości umysłowej, do tak wysokiego moralnego udoskonalenia, że wolno im wyższe mieć pragnienia; my tutaj mamy jeszcze tak wiele do poprawienia na naszej zwykłej domowej niwie, tak wiele do wywalczenia w tym dzisiejszym niewieścim prac naszych zakresie, że i samodzielność, o którą się starać możemy, takie przedewszystkiem powinna mieć gra-



nice. Nim zaczniemy się dobijać o jakieś niezależne stanowisko w życiu publicznem, nim zaczniemy spełniać obowiązki urzędników i reprezentantów kraju, nauczymy się pierwej stać o własnej sile w pośród rodziny i towarzyskiego naszego kółka. Tego właśnie nie umiemy jeszcze. Widzimy, niestety! że najczęściej te z pomiędzy nas, które najwięcej o emancypacji i równouprawnieniu rozprawiają, nie umieją pozyskać tyle przynajmniej powagi, by w salonie bez opieki ojca, brata lub męża bezpiecznemi się czuły. Pozostawione same sobie, nie umieją one budzić dla siebie poszanowania, nie umieją zasłużyć na szacunek; cóż więc dziwnego, że gdy nie są osłonięte płaszczem rodzicielskiej lub męzowskiej powagi, spotyka je często lekceważenie, a nawet zniewaga. U nas więc przedewszystkiem kobieta niech będzie tak wychowana, aby umiała ostać się sama na świecie; by zamężcia za konieczny w swem życiu nie kładła warunek; aby była przygotowana na to, że zamąż nie pójdzie, a jednak nie rozpaczala o przyszłości i miała to przekonanie, że na jakimkolwiek Bóg ją postawi stanowisku, wszędzie potrafi stać się szczęśliwą i użyteczną, i własną zasługą zyska cześć i szacunek u ludzi. Tak tylko myśląca młoda osoba nie zmarnuje najpiękniejszych lat swoich ubieganiem się za hołdami i szukaniem męża; taka tylko potrafi być pociechą rodziców a nie ciężarem dla nich, a nie plagą w domu, jaką bywają czasem terazniejsze panny, sobą zajęte jedynie; taka też tylko, zostawszy starą panną, nie skwasi reszty życia żalem za młodością i utyskiwaniem na ludzi, będzie nawet szczęśliwa, bo, nie wyludziwszy serca próżnością, będzie zawsze zdolna drugich kochać, dla drugich pracować, a więcej do szczęścia nie trzeba kobiecie. Taka wreszcie, jeśli pójdzie zamąż, pewno potrafi być dobrą żoną i matką, pewno pojmie całą wielkość powołania swego i dopełni godnie obowiązków swoich, nie dlatego, że ich dopełnić mu-

siała, bo ją mąż w należytych trzymał rygorze, ale że ich dopełnić chciała. Taka też tylko godna jest nazwy kobiety-człowieka, godna jest nie tylko miłości, ale szacunku, i gdyby taką była każda, niktby już kobiety nie nazwał zagadką, i żaden uczony angielski nie śmiałby rzucić niedorzecznego pytania: czem jest kobieta? boby dobrze wiedział, że kobieta, to człowiek.

## II

### O WYŻSZEM WYKSZTAŁCENIU KOBIETY.

Chcąc, żeby kobieta umiała spełnić godnie powołanie swoje, żeby nie była, jak twierdzi poeta, tylko »prochem marnym i wietrzną istotą«, trzeba przede wszystkim dać jej za podstawę religję, bo, tylko stojąc na silnej podwalinie wiary, potrafi ona całe życie o własnej moralnej stać sile. Dowieść tego jest zadaniem niniejszej książki; zanim jednak przystąpimy do nakreślenia na tle Ewangelji wszelkich obowiązków kobiety w różnych życia jej położeniach, pomówimy pierwej o tem wyższem wykształceniu umysłu, dotychczas tak skąpo jej udzielanem, a do którego niezaprzeczone ma ona prawo.

To wyższe wykształcenie nie może być uważane za jedno z wychowaniem, bo np. kobieta, w wieśniaczej wzrosła chacie, może być dobrze wychowana, choćby nawet nie znała gramatyki. Ona, co od dzieciństwa do ciężkiej nawykła pracy, znaczy coś przecież na świecie i jest daleko użyteczniejsza społeczeństwu od niejednej wystrojonej elegantki, grającej na fortepianie i czytającej romanse. Wyższe wykształcenie, nie będąc podstawą wychowania, bo tą jest tylko religja i poznanie swoich obowiązków, może jednak być dla ko-

biety wielką pomocą do godnego ich spełniania i środkiem udoskonalenia się.

Odjąwszy kobiecie chęć strojów i zabaw, wzbrońwszy jej próżności i zalotności, trzeba jej co innego dać wzamian; trzeba, zamiast tego kłamiwego światowego blasku, którym dotąd jaśniała, innym otoczyć ją urokiem; trzeba oświecić jej umysł, obudzić w niej szczytniejsze upodobania; trzeba, żeby, przestawszy być bóstwem, któremu mężczyźni bałwochwalcze biją pokłony, nie została zabrukana klucznicą, gniewliwą gospodynią tylko. Niech więc pokocha naukę, niech zasmakuje w czytaniu, niech się szczerze, nie dla popisu, poświęci jakiemu talentowi; wszak nie potrzebuje zaraz być artystką albo autorką. Niech tylko zdolna będzie wybiec myślą poza obręb kuchni i domu, dotknąć tych skarbów nauki i sztuki tak niewyczerpanych, i dla siebie je zdobyć, a znajdzie w tem pewno więcej rozkoszy niż w najświetniejszej zabawie, i wrażenia stąd odniesione odmalują się na jej twarzy jaśniejszym blaskiem od tych, którychby doznała na balu. Tym sposobem, umilając sobie życie, nie uchybi pewno obowiązkom swoim, bo to przecież łatwiej z obowiązkami matki i pani domu pogodzić zajęcie się parę godzin na dzień książką, fortepianem lub pendzlem, niż ciągle oddawanie się zabawom i światu. Jeżeli np. młoda matka, po całodziennych trudach około domu i dzieci, ułoży je już na spoczynek, przeżegna krzyżem świętym i, odmówiwszy cichą nad ich kołyską modlitwę, otworzy później jaką książkę i użytecznem czytaniem odświeży sobie umysł — czy robi jaką krzywdę swym dzieciom? czy tak ucierpi porządek w jej domu, jak wtenczas, gdy wszystko zostanie na łasce służących, i do późnej nocy bawi na balu? Samo przygotowanie jednego stroju balowego małoż to zabiera czasu?

Zresztą wykształcenie prawdziwe zasadza się właśnie na lepszem obowiązków swych pojmowaniu i umie-



jętniejszym ich pełnieniu. Jakże np. ograniczona matka potrafi rozumnie wychować swe dzieci? Czy zdanie jej będzie miało dla nich jaką wagę? Czy zyska poszanowanie swych synów? Widzimy tysiące przykładów lekceważenia, jakiego najlepsze, lecz ograniczone matki od swych dzieci doznają. Cóż, kiedy to wyższe wykształcenie tak źle pojmowane bywa i tylu ma jeszcze przeciwników. Wprawdzie przyznano już kobiecie bardzo rozległe pod tym względem prawa, ale tylko w książkach i pismach perjodycznych; w życiu jednak nie zostały one wprowadzone dotąd. Na sto panienek, niby starannie wychowywanych, nie wiem, czy dziś nawet znajduje się przynajmniej kilka gruntownie pobierających nauki. Zawsze więc jeszcze kobieta prawdziwie wykształcona jest prawie zjawiskiem, częściej trafiającem się niż dawniej, ale z którym ludzie nie mogli się dotąd oswoić. Po większej zaś części nauka jest tylko powierzchownie udzielana kobietom i służy im głównie do popisu w towarzystwie, gdy właśnie prawdziwie rozumna pewno z tem, co umie, chwalić się nie będzie. Trudno to jednakże świat o tem przekonać, większa bowiem część mężczyzn jest zdania, że kobieta wyżej wykształcona, a raczej uczona, jak się wyrażają, nie może być ani dobrą żoną, ani dobrą matką, ani szczególnie dobrą gospodynią; rozmawiać z taką przychodzi im nawet z trudnością, bo też znajdują tyle innych, które chętnie każdy najniedorzeczniejszy komplement, każdy żart przyjmują, a to ich tak bawi, choćby sami najrozumniejsi byli.

W świecie spotyka się najczęściej dwa rodzaje kobiet: dobre gospodynie i, tak zwane, kobiety światowe. Pierwsze, przy ładnej twarzyczce, są najbardziej poszukiwane na żony, bo też są to istotnie doskonałe kucharki, obiady mężom dają wyborne i obok tego zacie z nich często niewiasty; najlepsze z nich żony i matki; czasem tylko dla rozrywki zabawiają się plotkami. Ko-

biety światowe mają znowu więcej powierzchownej oglady; zwykle mówią dobrze obcemi językami, grają, śpiewają, są dowcipne i przyjemne w towarzystwie, ale to wszystko zaspokaja tylko ich próżność. Stroją się w dowcip i talenta tak samo, jak w pióra i brylanty; dla nich modne ubranie, bal, jak największa liczba wielbicieli, to jedyny cel życia; o jakichś tam obowiązkach nie mają nawet pojęcia. Ten rodzaj kobiet straszliwie poniża całą pleć niewieścią; a jednak, jakżeż ogromne powodzenie kobiety takie zyskują w świecie i mężów także znajdują łatwo, bo mężczyźni choć się czasem na próżności poznają, potędzie kokieteryj rzadko oprzeć się umieją. Tylko mądrych kobiet lękają się oni jak ognia i obchodzą je zdaleka, tak nazywając każdą, która choć trochę wyższe ma upodobania. Dziwne to doprawdy, że kiedy np. kobiety najbardziej lekkomyślne pogardzają najpiękniejszym mężczyzną, jeśli w nim nie widzą pewnej moralnej wyższości, jeśli go znajdują niedołęznym lub głupim — mężczyźni, (że już pomijam tych, dla których żona jest cyfrą a małżeństwo rozwiązaniem zadania arytmetycznego), największą wartość w kobiecie przywiązują do jej piękności, a gdy ta ich podbije, troszczą się tylko o to, czy w niej znajdą dobrą gospodynię, i czy ona czasem nie będzie chciała nad nimi przewodzić. Pod tym ostatnim względem słusznie się lękają, bo tylko kobieta bardzo pospolitych pojęć jest zdolna do takich uzurpacyj małżeńskich. Ale oni tego właśnie rozumieć nie chcą i, upewnieni częstokroć pozorami tylko, nie wahają się w wyborze i, najkrótszą do celu idąc drogą, to jest drogą pochlebstwa, rozdmuchują jeszcze tę próżność, która tak poniża kobietę i na której później sami najwięcej tracą; ożeniwszy się zaś, sądzą, że sama ich powaga, sama potęga władzy mężowskiej potrafi zrobić z niej dobrą żonę, matkę i zacząć panią domu. Szczególniejsza naiwność! O! tam, gdzie niema głęboko wpojonego uczucia obo-

wiązku, tam nic nie pomoże: ani powaga męża, ani zazdrość jego, ani czujność największa. Kobieta płocha znajdzie zawsze tysiące sposobów oszukania męża, choćby ją nawet zamykał; uparta, zawsze potrafi postawić na swoim, choćby nawet pozornie uległa była; złośnica dom zamieni w piekło, gdy popędlivości swej nie będzie zdolna własnym hamować rozumem; a ograniczona nie przestanie grzeszyć brakiem taktu, niewłaściwem znalezieniem się, choćby do ślepego posłuszeństwa nawykła, bo, nie umiejąc stanąć narówni z pojęciami męża, uwag jego zrozumieć nawet nie zdoła. Żaden więc mąż nie powinien polegać ani na miłości swej żony, bo ta może ostygnąć, ani na bojaźni, którą w niej wzbudził, ani na posłuszeństwie, do którego ją włożył; ale gdy pozna, że tłem jej duszy jest wiara i cnota, a obok stosownego wykształcenia prawdziwy posiada rozsądek, niech będzie pewny, że mu pozostanie na zawsze wierna i uległa żoną; że z tych samych pobudek nie zaniedba ani wychowania dzieci, ani gospodarstwa domowego, choćby w niem nawet upodobania nie miała; że, obok wrodzonej czasem żywości charakteru, potrafi się powstrzymać od gwałtownych uniesień i oszczędzi mężowi tak nieznośnych w domowym pożyciu kłótni, swarów i krzyków, bo nie zapomni, że złość nieumiarkowana jest tylko bezrozumnych cechą. Gdyby się zaś w zapatrywaniu na rzeczy z mężem różniła, gdyby o czym fałszywe miała zdanie, łatwo mu będzie z nią się porozumieć, sprostować jej wyobrażenia nie rozkazem, ale przeświadczeniem. Wreszcie, choćby istotnie słabego była zdrowia, przy największej nawet drażliwości nerwowej, pewno spazmów nie dostanie z przyczyny modnej sukni albo kapelusza; nie zachoruje na ułożoną przez siebie podróż za granicę; nie dokuczy mężowi niedorzecznymi kaprysami i żadnymi wielkimi ofiar, możność jego przechodzących, wymagać dla siebie nie będzie — bo, pojmując jak należy stanowisko kocha-



jacej żony, nie zechce go dobrowolnie poniżyć, i takim sposobem sławać prawie narówni z takimi kobietami, które to względy i uśmiechy swoje za pieniądze i tureckie szale sprzedają. Otóż to taką żoną będzie każda kobieta, gdy jej nie wychowają na bezduszną, pustą istotę, gdy ją nauczą o własnej moralnej stać sile; mąż zaś, któryby względem takiej przybierał rozkazujący ton pana domu, nadużywałby tylko prawa mocniejszego i własnej ubliżał powadze. Są jednakże mężowie, którzy nie pomijają sposobności, by swą władzę zawsze dać uczuć żonie; którzy dotąd nie chcą zrozumieć, że tam tylko może być miłość i szczęście w małżeństwie, gdzie żadna strona nie próbuje uzyskać przewagi nad drugą; gdzie każde z małżonków myśli tylko o szczęściu drugiego; gdzie oboje umieją sobie wybaczać wzajemnie trafiającą się czasem chwilę złego humoru; bo, choć rozumna żona potrafi znieść z godnością nawet niedelikatne obejście męża, trudno jednak, by zachowała mimo to niezmienną zawsze dla niego czułość i żalu nie miała w sercu.

Jeżeli zaś samodzielność moralna i wyższe wykształcenie tak jest potrzebne kobiecie, której życie zwykłą poszło koleją, o ileż więcej jeszcze potrzebne jest tej, która zamaż nie poszła, lub wcześniej została wdową. Taka powinna nietylko strzec sama swej dobrej sławy, tak, by na nią nie padł żaden cień krzywdzącego podejrzenia, ale jeszcze powinna własną zasługą zyskać cześć i szacunek u ludzi. Taka, jeżeli ma majątek, powinna umieć nim zarządzić, a jeśli go nie ma, powinna tak być usposobiona, by mogła własną pracą byt sobie zapewnić. Kwestja pracy kobiecej jest dziś właśnie na porządku dziennym i, daj Boże, by jak najprędzej pomyślnie rozwiązana została; życzyć tylko należy, by tak kobiety same, jak i ci, którzy się sprawą ich zajmują, mieli to na uwadze, ażeby obmyślane dla nich zawody, dając kobiecie niezależność, nie oddalały

jej jednak zbyt od domu, nie wyprowadzały z właściwej jej sfery; każde bowiem zajęcie, któreby ją stawiało zbyt na widowni, któreby ją zmuszało do publicznych wystąpień, a szczególnie narażało na koleżeńską poufalskość mężczyzn, a zatem ścierało z niej tę pełną wdzięku barwę skromności i nieśmiałości niewieściej, nieprędko jeszcze będzie dla niej stosowne. Nieprędko, mówię, bo ileż to potrzeba czasu, jak wielkiej reformy w wychowaniu mężczyzn, w obyczajach, prawodawstwie, opinii, aby kobieta, zaczawszy od ławek szkolnych, mogła stanąć bezpiecznie obok mężczyzn na stopie zupełnej równości, a raczej koleżeństwa. W obecnym stanie rzeczy potrzeba jej koniecznie pracować w obrębie własnego domu, pod rodzinnym dachem; nie może więc chodzić do biura, ani zasiadać na sądach. Właściwem dla kobiety zatrudnieniem mogą być najpierw niektóre rzemiosła i kupiectwo. Wprawdzie kobieta za kantorem narażona jest także na zetknięcie z publicznością i szczególnie młoda i piękna jest dotychczas często przedmiotem wielkiego lekceważenia, ale to już od niej zależy, ażeby było inaczej; ta, która w domu i w salonie potrafi budzić uszanowanie, będzie szanowana i w sklepie, gdzie jest przecież także u siebie, i niktby jej pewno nie ośmielił się uchybić, gdyby do tego nie upoważniała sama. Zawód nauczycielski, dziś tak częstokroć przykry i niewdzięczny, może dać także kobiecie byt i niezależność, jeśli nietylko w prywatnych domach, ale w publicznych żeńskich szkołach nauczać ona będzie. Dalej czemużby także kobieta nie mogła zostać aptekarzem? Prędzej, jak sądzę, aniżeli doktorem, zawód doktora bowiem obrać sobie może wyjątkowo tylko młoda wdowa, nigdy kobieta niezamężna, bo kiedy los poskąpił jej tych skarbów uczucia, które wypełniają serce żony i matki, niechaj przynajmniej świat nie odziera jej całkiem z tej poezji, która była młodości jej urokiem, zawód doktora zaś

ukazałby jej życie w rzeczywistości zbyt nagiej. Zresztą obowiązki doktora przedstawiają dla kobiety inne jeszcze trudności. Wystawmy sobie np. kobietę doktora, wezwaną do chorego wśród nocy i przebiegającą z nieznanym przewodnikiem odległe i odosobnione ulice wielkiego miasta. Wprawdzie i dla mężczyzny taka przechadzka może tysiączne przedstawiać niebezpieczeństwa, ależ kobieta ma przecież coś więcej do stracenia jeszcze, niż życie. Sądzę, że zawód prawnika, adwokata lub notariusza byłby już dla kobiety daleko odpowiedniejszy. W swojej kancelarii byłaby jak w domu, a bronić publicznie powierzonych sobie spraw mogłaby i w dzisiejszych społecznych stosunkach tak samo, jak miewać prelekcje lub dawać koncerty. Ostatnie jest wprawdzie już oddawna zwyczajem uświęcone, ale poświęcać się sztukom mogą te tylko, które ku temu odebrały namaszczenie z góry; a i do autorstwa niech żadna nie bierze się dla chleba, bo to chleb bardzo gorzki; pisać na obstalunek, gdy niekoniecznie do pisania jest usposobienie, to już najcięższe rzemiosło; ten też tylko znakomitym zostać może pisarzem, komu nie obowiązek, nie potrzeba, ale natchnienie pióro do ręki podało. Poszukawszy dobrze, możeby kobiety i do innych jeszcze usposobić się mogły zawodów, w których pracując, byłyby od smutnych nieraz zmian losu zasłonięte, a jednak pozostałyby na tem stanowisku czysto niewieściami, na którym stojąc, są nie tylko chlubą i szczęściem rodziny, ale jeszcze mogą być apostołkami postępu i tego wszystkiego, co znaczne i pożyteczne i piękne, bez zajmowania nawet katedr profesorskich i sięgania po wysokie w rządzie i kościele godności.



### III

#### O RELIGIJNOŚCI U KOBIETY.

Jedną z charakterystycznych cech naszego wieku jest lekceważenie religji, które, zdaniem mojem, jest stokroć gorsze aniżeli niedowiarstwo. Kto nie wierzy, albo tylko waha się i powątpiewa, ale zarazem zastanawia się i szuka prawdy, ten zczasem wątpić przestanie; ale kto żadnej do religji nie przywiązuje wagi, czyż kiedykolwiek uwierzyć może? Gdyby religję starano się poznać i zbadać, tyle przynajmniej, co każdą inną naukę, gdyby ją uważano za przedmiot, zasługujący na równą przynajmniej uwagę co historia Grecji lub Rzymu, byłoby pół biedy; ale inaczej się dzieje. Niejeden, co dla jakiejś wątpliwej daty lub wypadku historycznego gotów przewertować kilkanaście książek, nie przeczyta nawet sześciu kartek dla rozświecenia wątpliwości religijnej, która w umyśle jego powstała. Książka, traktująca o religji, choćby najgenjalniuszem napisana piórem, jest odrzucana z pogardą, ale zato autor, występujący przeciw religji i Kościołowi, może być pewny powodzenia i rozgłosu; za przykład niechaj tu służy książka Renana, którą czytał każdy ukształcony człowiek, gdy tymczasem o dziełach Ś. Augustyna mało kto wie nawet. I niedosyć na tem, że ludzie rozumni, którzy już nie mogą wierzyć jak prostaczkowie, tak lekceważą religję, że w niej gruntownie rozpatrzyć się nie chcą, ale widzimy jeszcze półglówków, którym się zdaje, że to w dobrym tonie szydzić z religji; wysmiewają więc praktyki, a nawet i dogmata religijne, choć do tego mniejsze mają prawo niż bazgracz szynkowych szyldów do krytykowania arcydzieł Rafaela; bo jeżeli niewiele wiedzą o historii i matematyce, którą im profesor tak gorliwie kładł do głowy, to pewno mniej jeszcze o katechizmie, którego ich uczono tak

mało i niedbale. Wobec takich usposobień ogółu jakże pożądanoby było, żeby przynajmniej kobiety więcej religijne były. Wprawdzie nam zarzutu niereligijności zrobić nie można; wszystkie spowiadamy się, chodzimy do kościoła, modlimy się na książce; ale to już wszystko. Ta wielka niezachwiana wiara, która jest drogowskazem życia, światłością w ciemności, jedyną dźwignią w upadku, ratunkiem w nieszczęściu, pokrzepieniem w słabości; ta wiara, której nie nauczy katechizm, którą tylko łaska Boża tchnąć może w duszę pokornie szukającą prawdy; ta wiara rzadko jest naszym udziałem. Dlaczego? Bo choć wychowane religijnie, zbyt obojętnie wszakże traktujemy ten najważniejszy interes w życiu, nie zastanawiamy się nad nim dość poważnie, nie oddajemy mu się dość gorliwie i nie pragniemy nawet czerpać tej wody żywota, »którą ktoby pił, nie będzie pragnął na wieki«. Mimo więc zachowywania form religijnych, różniącego nas tak powszechnie od mężczyzn, jesteśmy pod względem ducha religijnego niemniej od nich obojętni i ciemni, chociaż obowiązkiem naszym byłoby właśnie przeciw tej ogólnej walczyć obojętności. Gdyby kobiety lepiej znały i rozumiały swą wiarę, gdyby były zdolne każde bezbożne twierdzenie odeprzeć nietylko pobożnem oburzeniem, ale i przekonywajacem słowem, z jakimż powodzeniem wystąpićby mogły w obronie tej świętej sprawy; jakby im łatwo przyszło korzystać z uzyskanego wpływu nad sercami braci, narzeczonych, mężów a nawet i ojców, by nieznacznie zwrócić ich uwagę na to, co ich dotąd tak mało obchodziło. Każda wiara gorąca, każdy zapal szlachetny bywa zaraźliwy; chociaż więc przesadne i fanatyczne kobiet nabożeństwo mężczyzn częstokroć od religii jeszcze bardziej odstręcza, to pobożność prawdziwą, oświeconą i żywą wiarę, niezachwianą ufność umieją one bezwiednie czasem udzielić drugim, samym tylko przykładem. Przykład ten jakże

nie ma mieć pociągającej siły, gdy wślad za dobrze rozumianą religją idą zawsze długim szeregiem wszystkich niewieście cnoty a z niemi ten pokój i pogoda w duszy, która z innego nie może płynąć źródła. W istocie, człowiek bez religji to taka nieszczęśliwa istota, igraszką okrutnego losu porzucona na wszystkie bóle i nędzy tego świata; istota najbardziej w całej naturze skrzywdzona, bo obok uczucia swej nicości, obok widoku znikomości wszystkiego, co ją otacza, skazana na ciągłą mękę, ciągle nieskończoności pragnienie. By to zrozumieć, nie trzeba być starcem niedołężnym i zgrzybiałym; nie trzeba nawet kosztem własnego życia, utratą tego, cośmy najbardziej ukochali, przekonywać się o znikomości wszystkiego, co ziemskie. Kto raz tylko uważnie popatrzy wkoło siebie, ten zawsze już klócić się z życiem, zawsze złorzeczyć mu będzie, jeśli go od tego nie ochroni wiara. Wiara, w nagrodę tej nędzy człowieczej, za kres raczej pielgrzymki wskazuje nam niebo; wiara za Stwórcę naszego wskazuje nam Boga, nie jako srogiego tyrana, pastwiącego się niemilosierdzie nad stworzeniem swoim, które go nie prosiło o życie, ale jako dobrotliwego Ojca, który kiedyś każdą łzę naszą, każdy ból policzy. Wiara uczy nas, że świat ten to gospoda, na wielkim naszym istnienia gościńcu spotkana, którą choć czasem ukochani nasi opuszczają przed nami, płakać za nimi nie mamy powodu, bo spotkamy ich wkrótce u celu naszej drogi. Droga ta wprawdzie ostra i kamienista, lecz wśród niej ciągnie się poręcz, która upaść nam nie da, a poręczą tą jest Ewangelja. Trzymajmyż się jej mocno, jeśli iść chcemy pewno i odważnie, patrząc w tę księgę najwyższej mądrości, jeżeli chcemy, ażeby światło, które z niej bije, przyświecało naszej drodze.



IV

FAŁSZYWA A PRAWDZIWA POBOŻNOŚĆ.

»Zaprawdę powiadam wam, jeśli o co prosić będziecie Ojca w Imię moje, da wam«. Oto słowa, mogące służyć za podstawę i upoważnienie do tej wewnętrznej pobożności, ku której szczególnie młode i gorące serca tak chętnie się skłaniają — bo też, co to za pocieszające słów! Modlitwa, ta poufna z Bogiem rozmowa, jakież to wielki przywilej rozumnego człowieka; przywilej, z którego, niestety! niekażdy korzystać umie. Kto nigdy w gorącej modlitwie nie zaznał tego błęgiego zachwyty ducha, który czasem w jakiś doskonalszy, wyższy, przenieść może świat; kto nigdy przed ołtarzem łzami prawdziwego rozrzewnienia nie pokrzepił i nie oczyścił słabej swojej duszy; kto potęgi i słodyczy lez takich nie zna i nie pojmuje, ten zaiste nigdy przedsmaku nieba nie zaznał. Ale modlitwa taka to tylko chwila uniesienia, która długo trwać nie może i jak westchnienie ulata; to tylko upominek z nieba, dany człowiekowi, by ciężki znój życia jego nagrodzić. Tymczasem niektóre egzaltowane umysły chciałyby ciągle stać na takich wyżynach; sztuką więc do wysokiego nastrajając się tonu, wpadają w nienaturalność, przesadę i dziwactwa i, zamiast do świętości, dochodzą tylko do śmiesznej dewocji a nawet pod pewnym względem do poganizmu, gdyż, zamiast Stwórcy, stworzeniu w swem sercu stawiają czasem ołtarze.

Tylko wytrawne i czyste o religji pojęcie, tylko zupełna prostota we wszelkich religijnych praktykach, tylko wielka nieudana pokora w duchu, może być rękomią stałego w wierze i pobożności wytrwania, a tego właśnie brak wszystkim fanatycznym chorobliwego ducha dewotkom. Pokora, szczególnież ta tak wysoka chrześcijańska cnota, najmniej przez nie pojmowana

bywa. Mimo oczu spuszczonej i przesadnego uniżenia w słowach, nikt wyżej o sobie nie trzyma, nikt zacięciem przy uprzedzeniach swoich nie stoi, nikt pogardliwiej nie patrzy na drugich, jak one. Zatopione w samym tylko czytaniu Żywotów Świętych, naśladowają nie tyle ich cnoty, co niektóre umartwienia zewnętrzne, i są pewne, że przez to staną się świętymi, chociaż pewno żadna Święta nie miała dość pychy, by nawet pomyśleć śmiała, że nią kiedykolwiek będzie. Zresztą, żeby już wyczerpać ten przedmiot, będący bardzo na czasie, bo teraz tak często widzimy jedną z tych ostateczności, albo zupełną religijną obojętność albo bigoterję, a tak mało prawdziwej pobożności, dodać jeszcze trzeba, że wszelka rażąca w kobiecie odrębność, wszelkie odznaczanie się zawsze bywa naganne. »A gdy się modlicie, nie bądźcie jako obłudni, którzy się modlą, aby byli widziani od ludzi«, powiada Chrystus; pocóż więc jawnem wyróżnianiem się zwracać na siebie wzrok ludzki, jakoby z pobożności swej chluby szukając, pocóż czynić więcej, aniżeli nawet Kościół wymaga, — a jeżeli takim wyróżnianiem się ściągamy na siebie naganę i okrywamy się śmieszością, to pocóż znowu dawać komuś choćby pozór do zgorszenia i obmowy. Tak jedna jak drugie zarówno jest złe, prawdziwa bowiem pobożność pochwał nie pragnie, postępowaniu drugich nie przygania, nikogo przesadą i dziwactwem nie razi, nikomu się nie wydaje śmieszością; owszem swą czystością, prostotą i powagą, lekkomyślnym nawet nakazuje poszanowanie a dla złych jest zbawiennym przykładem. Zobaczmyż teraz tę prawdziwą pobożność, jak to ona się modli: »Boże! bądź wola Twoja«. Oto słowa, których sam Chrystus nauczył, a które najlepszą, najskuteczniejszą są modlitwą. Ten dobry Ojciec, który odziewa lilje i karmi ptaki powietrzne, wie czego nam potrzeba; wszelkie zaś ludzkie rachuby jakże często bywają mylne; wszelkie zbyt usilne pragnienia, gdy już

są osiągnięte, jakże nas często zawodzą; wszelkie troski i przewidywania jakże często urojone są tylko; poddanie się więc we wszystkim woli Bożej, to tajemnica osiągnięcia wszelkiego dobra. Jedyłą jednak prośbą, którą do tych słów poddania mamy prawo dołączać, jest prośba o błogosławieństwo Boże, o to, byśmy błogosławieństwa tego zawsze byli godni. Kto się czuje dzieckiem w ręku Stwórcy swego, kto niczem tego dobrotliwego nie obraża ojca, niczego się też lękać nie powinien. Trafiają się wprawdzie w życiu człowieka smutki, troski i nieszczęścia, na które czasem, zdaje nam się, że nie zasłużył; wtenczas też one nie są karą, owszem dobro jego mają na celu, tylko, że my wyroków Bożych pojmować nie umiemy. Bo to nieprawda, żeby ten, co prostemi tylko chodzi ścieżkami, ten, co pragnie wiernie służyć Bogu, musiał się tylko samych krzyżów spodziewać na świecie, żeby, skarbiąc sobie nagrodę w przyszłości, żadnego już do szczęścia na ziemi nie miał prawa; żeby droga do nieba zawsze tylko śladami krwawych ranznaczona była. »Jam jest z wami, nie bójcie się« mówi i do nas, wpośród niepewności i nędz tego świata. Ale, ażeby Chrystus był z nami, potrzeba nam wzywać pomocy Jego na każdym kroku, ufać, że On będzie nam obroną w każdym niebezpieczeństwie, pamiętać o Nim w każdej zwątpienia chwili. Potrzeba stać mocno na przeznaczonem stanowisku swoim, rządzić się tylko prawem Bożem i żadnej stąd sobie nie przyznawać zasługi, nie ufać nic własnym siłom, tylko łasce Bożej. Kto tak żyje, czyż podobna, aby go Bóg opuścił; aby mu odmówił swej obrony i pomocy, aby mu poskąpił tej pociechy, tego szczęścia, które mu się wtenczas tak prawnie należy. Kto tak żyje, nie osiągnie może zbyt wielkich bogactw i zaszczytów; nie użyje wielu tych znikomych rozkoszy, które, kto wie, czyby nawet nie wzgardził; ale szczęście ciche, domowe, rodzinne, do którego człowiek stworzony, miłość



bez namiętności, dostatek bez zbytku, poważanie współbraci bez wyniesienia, pokój w duszy, swoboda w umyśle, zaspokojenie w sercu, dlaczegóżby to wszystko nie miało być udziałem cnotliwego człowieka? Owszem błogosławieństwo Boże jest właśnie rękojmią takiego szczęścia; z tem błogosławieństwem, życie może być wolne od tych wielkich nieszczęść, od tych strasznych ciosów, co to są jakby gromem, spadającym z nieba i żadnej już nie zostawiającym nadziei; jeżeli jednak zupełnie wolnym być od smutku nie może, to też i człowiek zupełnie doskonałym nie jest. W szczęściu zapomni się czasem, modlitwa jego jest chłodna, myśl nadto ziemskiemu zaprzętniona sprawami; wtenczas więc Bóg lekką chłostą znowu go ku sobie pociąga, oczyszcza z pyłów światowych; nigdy go jednak całkiem nie opuści, nie zostawi bez pociechy. A kiedy już wkońcu śmierć nawiedzi dom jego, i ta nie będzie mu straszna; przyjdzie bowiem w chwili, gdy ją powitać będzie mógł bez rozpacz; gdy, strudzony życiem, dopełniwszy już wszystkiego, co miał naznaczone od Boga, rad już będzie spocząć na wieki; o! bo i ta śmierć nieublagana, która tak często przedwcześnie zabiera swoje ofiary, nie jest tak straszna, jak się komuś zdaje. Bywa ona wprawdzie srogą czasem karą, gdy przecina życie ludzi złych i zbyt przywiązanych do świata; nieraz pograża w strasnej rozpacz pozostałych, wyrывая im bałwochwalczo ukochane istoty; ale gdy wchodzi w progi sprawiedliwego, to najczęściej jest dobrodziejstwem; jest spoczynkiem po trudach, zapłatą po pracy, ochroną od upadku, przeszkodą utracenia zyskanych już zasług, lub wreszcie zbawienną dla drugich nauką.

Otóż to taka silna wiara, taka ufność niezachwiana w Opatrzności Bożej niechaj będzie tłem pobożności naszej; gdy zaś do tych dwóch tęczyowych religji naszej promieni, dołączymy jeszcze trzeci, życiu naszemu przyświecać będzie światło tak jasne i czyste, że przy jego

blasku nie zbłądzimy nigdy. Wspierani wiarą, krzepieni nadzieją, bądźmyż jeszcze ogrzani miłością. Miłość Boża, złana w jedno z miłością bliźniego, streszcza w sobie całą naukę Chrystusa; miłości tej zaś pierwszym wynikiem jest miłosierdzie. »Pójdźcie błogosławieni ojca mego, otrzymacie królestwo wam zgotowane, albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a daliście mi pić, byłem nagim, a przyodzieliliście mnie, chorym a nawiedziliście mnie«. Wymowniejszych słów, by zachęcić do miłosierdzia, trudno jest znaleźć podobno. Gdybyśmy też zawsze w osobie ubogiego widzieli Chrystusa, o ileż skwapliwiej otwieralibyśmy przed nim drzwi nasze; ale my o tem zapominamy i dlatego z taką pogardą rzucaamy czasem ubogiemu jałmużnę, lub z takim wstrętem odpychamy go nawet. Wprawdzie zdarza się, że niegodni otrzymują od nas, nienależne im, wsparcie, mimo to stokroć lepiej dziesięć razy być oszukany, aniżeli raz jeden prawdziwie ubogiego odepchnąć. Jałmużna zaś wtenczas tylko ma wartość dobrego uczynku, kiedy jest dana z miłością; jedno serdeczne słowo więcej znaczy przed Bogiem i własnem sumieniem, niż najhojniejsza ofiara, zrobiona przez próżność lub dla przyzwyczajenia. Sięgnąć do kieszeni i kilku groszami pozbyć się natręctwa żebraka, to tak łatwo, że za wielką zasługę poczytane być nawet nie może, tem więcej, gdy sąd żadnego nie uczujemy uszczerbku. Nie w ten też sposób rozumiał Chrystus cnotę miłosierdzia, gdy się nazwał łaknącym, chorym i nagim. Do spełniania tej wysokiej cnoty, przez którą skarby w niebie gromadzić sobie można, — bo, jak powiada pismo: podany kubek wody nie zostanie bez nagrody — każdy może znaleźć sposobność, choćby nie był ani bogatym, ani członkiem żadnego dobrego towarzystwa. Uchyłać się od stowarzyszeń, dobro ludzkości mających na celu, nie godzi się zapewne komuś, będącemu w możności wspierania ich, tak pracą jak i mieniem swoim, bo dowiedziona jest rze-

czą, że połączonemi siłami daleko więcej niż pojedynczymi uczynić można dobrego; obok jednak takiej, że tak powiem, urzędowej dobroczynności, na którą świat cały patrzy, większą sercu pociechę przynosi ta druga, o której mówi Ewangelja, że niech nie wie lewica, co czyni prawica, a którą spełniać może każdy, choćby go stać było tylko na grosz wdowi.

Nie na tem jednak koniec. Miłość Boga zlaną w jedno z miłością bliźniego, nie na samych uczynkach miłosiernych ogranicza się tylko. To przykazanie miłości, gdy będzie zastosowane do wszelkich życia naszego położów, wyda dopiero te dobre owoce, które każdą chwilę życia naszego znaczyć powinny. »Z owoców ich, poznaćcie je«, powiedział Zbawiciel; niech więc wszystkie czynności nasze będą zawsze natchnione miłością, a pewno owoce, które z nich wynikną, będą dobre; nie napróżno bowiem powiedział apostoł: »Chociażbym miał wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczem jestem«.

Ta miłość zaś, jakże to słodkie, jak łatwe jest prawnie, dla kobiety szczególnie; jak odpowiada tej potrzebie kochania, która od dzieciństwa prawnie, z taką w jej sercu budzi się siłą. Miłość w rozumieniu świata jest czemś tak odrębnym, tak sprzecznym z pojęciem o chrześcijańskiej Boga i bliźnich miłości, że łączyć je z sobą prawie się świętokradztwem wydaje; tak jednakże być nie powinno; owszem, wszystkie zacne i czyste, choć ziemskie tylko, uczucia, powinny stanowić jakby łańcuch, łączący nas z Bogiem. Gdyby inaczej było, ta ścieżka, która wprost do Boga prowadzi, dla niewielu tylko byłaby dostępna. Szczęściem, Bóg nie żąda od nas, byśmy dla Niego wyrzucili z serca każdą inną miłość, bo kto wie, czy, zamknąwszy serce na każde inne uczucie, bylibyśmy zdolni kochać Boga? czyby nam onowtenczas nie wystygło całkiem? czyby się martwem nie stało? Bóg niekoniecznie mieszka w odosobnieniu i ci-



szy; dla Niego niekoniecznie trzeba żywcem do grobu zstępować. Miłość Boga, to jak kwiat aloesu, który zakwita nieprędko; lodyga jego pierwaj długo wgórej wznosić się musi, zielonych liści okalając się wieńcem, aż wreszcie u szczytu kwiat całym zajaśnieje blaskiem, i piękności jego rozwite wprzód liście nie gaszą; dla-czegóżby więc ziemskie uczucia gasić miały miłość Bożą? Owszem, każde czyste uczucie, choć Bóg nie jest Sam jego przedmiotem, każdy popęd szlachetny, choć Bóg nie jest wyłączną jego pobudką, każda myśl wznioślejsza, choć Bóg nie jest jedynym jej celem, każda radość, nie bezpośrednio w Bogu zaczerpnięta, każde cierpienie, nie wprost od Boga pochodzące, wszystko to może być wolne od brudu i pyłu świata, może nas podnosić, a nie oddalać od Boga. Boga kochać można każdą ziemską miłością; Boga wielbić w każdym uniesieniu, natchnionem cudem natury, poetą sztuki, lub nową jaką zdobyczą rozumu; Bogu dziękować za każdą radość; w Bogu czerpać siłę do każdego cierpienia; Bóg, zawsze Bóg, może być tłem wszystkich ziemskich nawet uczuć naszych; a ponieważ zakres takich czystych w niewieścim sercu uczuć, radości i bólów jest rodzina, o różnych więc w rodzinie położeniach kobiety pomówimy obszernie.

## V

### KOBIETA JAKO CÓRKA.

Kobieta, wyszedwszy z dzieciństwa, przedstawia nam się naprzód w charakterze córki. Szesnaście lat, oto pora, w której dziewczę młode przestaje być dzieckiem, w której kwiat życia kobiety, do pełnego doszedłszy rozwicia, najpiękniejszym jaśnieje blaskiem; świeżość jego żadnym jeszcze nie przyprószonea pyłkiem, a jednak barwa daje już przyszły rozpoznać owoc; wte-

dy bowiem dziewicze marzenia i przeczucia zaczynają się już zmieniać w stałe zasady, w określone pragnienia, i twórcze młodości dłoto kończy już swe dzieło. Czem jest w 16 lub 17 roku, tem najczęściej pozostaje na całe życie; późniejszą zacząć matkę rodziny albo kobietkę bez serca łatwo już odgadnąć w tym wieku; to też jeżeli pożyteczne są te wszystkie pisma i książki, w których mówią kobiecie o jej wysokiem powołaniu jako żony i matki, niemniej pożyteczneby były takie, w którychby jej wskazywano, jaką to córką powinna być ta przyszła żona i matka. Tymczasem nad tem mało kto się zastanawia, może dlatego, że stanowisko córki, uważane jest najczęściej, tak przez nią samą, jak i przez rodziców, za chwilowe i przechodnie tylko. Córka dorosła w domu, to panna na wydaniu, która, nie mając innego celu życia, jak wyjście za mąż, czeka niecierpliwie na osiągnięcie tego celu, do żadnych się tymczasem nie poczuwając obowiązków; że zaś to oczekiwanie przeciąga się nieraz bardzo długo, najpiękniejsze więc lata życia upływają marnie. Gdyby to jeszcze te wszystkie kandydatki do małżeństwa nad tą upragnioną stanu swojego odmianą choć trochę poważniej się zastanawiały, byłoby pół biedy; ale im idzie tylko o tytuł mężatki; w jaki go zaś sposób nosić będą, nad tem nie zastanawiają się wcale. Tak się dzieje powszechnie; wyjątki do bardzo rzadkich należą wypadków; cóż więc dziwnego, że i kobiety, któreby temu wyczekiwanemu powołaniu żony i matki w zupełności później zadość czyniły, także do wyjątków policzone być mogą.

W mojem przekonaniu najlepszym, najskuteczniejszym środkiem do przysposobienia się do godnego spełniania trudnych stanu tego obowiązków jest, nie zaprzętać się wcale przyszłością, tylko, zdawszy się na Opatrzność, pilnie z dnia dzisiejszego korzystać. Wprawdzie powszechnym jest błędem, czy przywilejem, młodości,

że nigdy obecną żyć nie umie chwilą, zawsze ulata w przyszłość, patrzy daleko przed siebie, a na to, co jest dzisiejsze, pewne, bo już osiągnięte, spogląda obojętnem i niezadowolonym okiem. Błąd to wielki zapewne, zbyt ściśle jednak łączy się z tem wszystkiem, co właśnie cały powab młodości stanowi, żeby nam się godziło bardzo na niego powstawać. Kto w młodości nie marzył, za urojonemi, czy wyśnionemi, obrazami nie gonił i w pewnej danej chwili choć trochę nie był poetą — ten całe życie ślimaczą za sobą wlec będzie skorupę i nigdy już z pod niej ani ciepłej dłoni do braci nie wyciągnie z miłością, ani promiennem okiem, ożywionem jakąś szlachetną żądzą, wzniosłym zapalem, lub głęboką wiarą wokół siebie nie spojrzy. Te jednak złote młodej myśli rojenia nie mają nic wspólnego z chłodną, wyrachowaną za mężem gonitwą, w której terazniejsze panny jedną drugą prześcignąby radę, a której, niestety! i rodzice żadnego często nie stawiają hamulca. Tę więc niecierpliwość potępiając głównie, wracam do pierwszego twierdzenia mojego, że dla młodej osoby najlepszem przygotowaniem się do przyszłego swojego zawodu jest dobre użycie terazniejszego czasu. Dopóki więc żadne inne nie ciąży na niej obowiązki, oprócz obowiązków kochającej i wdzięcznej córki, niechżeż je pełni gorliwie i usiłuje spłacić rodzicom ten zaciągnięty u nich dług wdzięczności dziecinnej, z którego uiszczyć się powinno być jeszcze jedynym celem jej życia. Cel to piękny i godny zaiste córki chrześcijańskiej, ale do osiągnięcia bardzo trudny; bo i czemże tu zapłacić za tę miłość bez granic, za te niezmordowane starania, tę gotowość do wszelkich ofiar, za to, niczem niezachmurzone, szczęście dziecinnego wieku, którego rodzice tylko mogą być sprawcami. O! kto nigdy nie zaznał ciepłego uścisku, kto nigdy na łonie matki pierwszych życia bólów nie koił, nigdy z ufnością na ojcowskiem nie wspierał się ramieniu, ten bardzo, bardzo



jest biedny, bo najświętszych, najśladzzych brakuje mu wspomnień. Są mimo to dzieci, które nie umieją cenić tego niezmównanego dobra, jakim jest dla nich miłość rodzicielska, które, utraciwszy je, dopiero wielkość jego poznają. O! nie wpadajcie w błąd ten, wy wszystkie szczęśliwe córki, którym śmierć przedwczesna jeszcze nie wydarła rodziców; nie traćcie drogiego czasu, w którym możecie jeszcze czerpać u nich radę na doświadczeniu opartą a miłością natchnioną; w którym wam wolno całować tę rękę, zdolną tylko was błogostawić i nieprzebranemi darzyć was dobrodziejstw; w którym możecie jeszcze tulić się do tego serca, będącego tak niewyczerpanem źródłem pobjaźania, przebaczenia i miłości bez granic. Może niedługo ten dobrotliwy na twarzy rodziców waszych uśmiech zagaśnie, ta ciepła dłoń ostygnie, to, tak gorąco kochające was, serce bić przestanie, a wtenczas, wierząc, że straty poniesionej nic wam nie nagrodi; bo świętszej, doskonalszej miłości, nad miłość rodzicielską, życziwszej rady, gorętszego uścisku, na całym nie znajdzie świecie. Spieszcie się więc, póki czas jeszcze, dowieść im przecież, że ich także kochacie, że wdzięczne być umiecie; nie rańcie ich serca przedwczesnem wyrywaniem się ku szerszemu światu, widokiem chmury na waszem czole, wywołanej pragnieniem zmiany, tęsknota za jakimś wymarzonem szczęściem. Szczęście to nadejdzie może, choć, kto wie, czy ziści wasze rojenia; to zaś, jakim miłość rodziców dzisiaj was darzy, wkrótce pewno przeminie bezpowrotnie. Nie umieć go cenić, ku innemu ciągle myśleć i żądać wybiegać, kiedy ono i tak jeszcze dość wczesnie przerwane być może, to niewdzięczność dla serca rodziców bardzo dotkliwa, choć oni w szczytnem przywiązaniu swojem o sobie zawsze zapominać umieją i gotowi wraz z dziećmi wyglądać, nawet niecierpliwie, tej upragnionej przyszłości, choć ona dla nich samych w mogile się tylko zamyka. Dlatego to właśnie, tem

większym jest obowiązkiem dzieci umilać im życie, będące może na schyłku; a że dla nich najslodszy, najbardziej pocieszającym widokiem jest swobodny uśmiech na twarzy ich dziecka, jest ta pogoda promieniąca na czole, w której jak w zwierciadle odbija się czystość duszy, trzeźwość umysłu i spokój wewnętrzny—niech więc każda dobra córka stara się przedewszystkiem, by ją rodzice widzieli szczęśliwą. Będzie nią zaś istotnie, jeżeli tylko, nie trawiąc czasu beczynnie, potrafi każdą chwilę ku własnemu i drugich pożytkowi używać. »Wszelkie drzewo, nie dające owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone«, powiedział Chrystus — stąd widzimy, iż żeby człowiek wart był żyć na świecie, powinien koniecznie żyć użytecznie, powinien pracować. Niechże więc i każda młoda panienka pamięta o tem i dzień każdy zapelnia najpierw pracą nad moralnem udoskonaleniem swoim, nad rozwinięciem i uzupełnieniem nauki, którą jej udzielono, talentu, który dostała od natury; dotychczas bowiem wychowanie, które odebrała, choćby najstaranniejsze, było tylko przysposobieniem, by się dalej kształcić mogła coraz wyżej. Następnie, niech nie zaniedbuje tych powszednich, domowych zajęć, tak właściwych kobiecie, które, jakkolwiek proste, zbyt wielki wpływ wywierają na przyjemność i wygodę życia, a nawet na dobry byt rodzin, by się godziło gardzić niemi i zawsze się tylko służącemi wyręczać; tem więcej, że zajęcia takie, jako wymagające ruchu i pewnego fizycznych sił natężenia, są i dla zdrowia bardzo potrzebne. Przytem niech każda młoda osoba ma sobie za obowiązek, ażeby jej wykształcenie znajdowało koniecznie jakieś zastosowanie praktyczne, przynosiło istotną nietylko jej, lecz i społeczeństwu korzyść; chociażby majątkowe położenie nie stawiało jej w tej potrzebie, niech mimo to stara się uzdolnić do jakiejkolwiek pracy, mogącej pewien przynosić jej dochód. Dochodu tego, jeżeli nie

będzie potrzebowała użyć na własne potrzeby, lub, co słodsze jeszcze byłoby jej sercu, na przyniesienie pomocy rodzicom niemającym, a liczną obciążonym rodziną, to niech go użyje na wsparcie uboższych, a zjedna sobie zasługę przed Bogiem i to mile przekonanie, że jest małym kółkiem w wielkim warsztacie świata, że nie stoi z założonemi rękami wtenczas, kiedy drudzy pracują. Dziś, gdy dla pracy kobiecej nowe w świecie odkrywają się widoki, można się spodziewać, że ta rada moja coraz łatwiej praktyczne znajdować będzie zastosowanie. Gdy zaś pierwsze kroki, które kobieta o własnej stawia sile, po takiej prowadzić ją będą drodze, na jakże szeroki, na jak piękny wyjdzie ona kiedyś gościniec, jak spokojnie rodzice takiej córki spoglądać będą na jej przyszłość, choćby jej żadnego nie zostawiali majątku, z jaką godnością ona sama oczekiwać będzie losu, który Bogu podoba się jej zesłać; umiając bowiem być swój własną zapewnić pracą, zamążpójścia za konieczny dla siebie nie położy warunek, nie będzie trawiona gorączką podobania się i do żadnych w tym celu ubliżających sobie nie zniży się zabiegów. Usposobić się zaś do takiego pożytecznego a samodzielnego życia potrafi każda kobieta, która tylko tą myślą, by się stać pożyteczną, szczerze się przejmie, a nią przejęta, nie będzie miała czasu na czcze pragnienia i bezowocne marzenia, nie będzie знаła co nudy i tęsknota i, co za tem częstokroć idzie, nie będzie doświadczała tych wszystkich tegoczesnych nerwowych chorób, które, jakkolwiek bezwzględnie za udane uważane być nie mogą, są jednak tej natury, że silna wola z wielkim skutkiem opierać się im może. Wynikają one najczęściej z przyczyn moralnych, a mianowicie z chorobliwie rozbudzonej wyobraźni; przyczyn więc tych nie będzie, gdy młoda osoba, rozumnie i trzeźwo na życie się zapatrując, z położenia swego, jakiegokolwiek jest ono, potrafi być zadowolona. To zadowolenie znajdzie ona głównie w zaspokojeniu



sumienia, tem wewnętrznem przekonaniu, że jest użyteczna, że nie żyje bez celu, a obok tego znajdzie także z łatwością zaspokojenie dla umysłu i serca: pierwsze, w nieprzebranych skarbach nauki i sztuki, do których klucz posiada, drugie, w przywiązaniu rodziców, w tych codziennych, czułych około nich staraniach, w tych poufnych z nimi rozmowach, w które oni całą duszę swą przelaćby radzi, by to doświadczenie, które sami zdobyli w ciężkiej szkole życia, dzieciom swym mogli gotowe przekazać w spuściźnie. Jakoż węzła tego, który dobre dzieci z rodzicami wiąże, nawet grób nie rozrywa; z poza mogiły jeszcze cześć dla ich pamięci, wspomnienie ich przywiązania, ich rad i napomnień, może być obronną tarczą przeciw błędom, upadkom i wszelakiemu zwątpieniu. Każda zaś córka, która umie być pociechą, osłodą rodziców, która ich starość czcią i miłością otacza, która im z rozkoszą oddaje te usługi, jakie od nich odbierała w dzieciństwie, a każde ich słowo przechowuje w sercu jak świętość, każdą ich radę za głos Boży uważa, na której sumieniu nie ciąży żadna bolesna lza rodzicielska, owszem, spływają na nią codzień nowe błogosławieństwa uszczęśliwionych przez nią rodziców, każda taka córka potrafi kiedyś uszczęśliwić i męża i będzie pewno dobrą żoną i matką.

## VI

### KOBIETA JAKO NARZECZONA.

Żona i matka — są to szczytne tytuły, które jednak, a mianowicie też ostatni, nie wchodzą w krąg marzeń 17-letniego dziewczęcia; zwykle bowiem wszystkie młodego serca pragnienia odnoszą się tylko do tego uroczego zjawiska, zwanego miłością, rozumianą w jej zwy-

kłem a oderwanem tylko znaczeniu; pragnienia te zaś w sercu dziewiczym i nieskażonem próżnością są tak czyste, że żadna matka ani ganić, ani bronić ich swej córce nie może. Obok najzdrowszych, najrealniejszych o życiu pojęć, obok najsumienniejszego obowiązków spełniania przychodzi chwila, w której ta potrzeba kochania z całą w młodzieńczej piersi budzi się siłą; w której przywiązanie rodziców, sióstr, braci nie wystarcza; w której miłość ojczyzny, ludzkości i Boga, upodobania w tem wszystkim, co wzniosłe, piękne i szlachetne, próżni w sercu wypełnić nie zdoła; w której przeczuwamy, że jest jeszcze na świecie jakieś dobro rzeczywiste, z ziemskich dóbr najwyższe, które nam się prawnie należy, które jest warunkiem nietylko szczęścia naszego, ale może nam się stać szczeblem udoskonalenia, nową pobudką do cnoty, środkiem ku użyteczniejszemu jeszcze życiu, pomocą w spełnieniu powołania naszego. Silić się, by przeczuciu temu fałsz zadać, byłoby próżno i niepożytecznie; trzeba tylko młode serce hartowną odziać stałą przeciwko możliwym zawodom i rozczarowaniom, bo, niestety! miłość prawdziwa to w istocie tylko zjawisko, trafiające się bardzo rzadko, to jakby skarb zaklęty, przeznaczony tylko dla wybranych. Kobieta, która skarb ten posiedzie, do najszczęśliwszych policzona być może. Łatwo jej przyjdzie odpowiedzieć godnie posłannictwu swemu, bo łatwo jest być dobrą, kiedy się jest szczęśliwą, słodko pracować, gdy pracy tej pobudką jest miłość, gdy wszystkie zajęcia i trudy dla ukochanych podejmujemy. Niepodobna więc kobiecie nie pragnąć miłości, potrzeba tylko, by umiała zawsze rozumem nad sercem panować. Miłość prawdziwa i czysta nie ustąpi przed rachubą, nie da się olśnić blaskiem złota i matematycznych do siebie nie zastosuje pewników; tam jednakże, gdzie nie jest w zgodzie z sumieniem i obowiązkami, gdzie nie podnieść, lecz poniżyć może, tam powinna koniecznie usta-

pić rozwadze. Miłość, idąca w parze z pogardą lub wstydem, to nie miłość, to już namiętność, a namiętność taka stalej nie może mieć podstawy, a więc i szczęścia rękojmi nie daje. Trudna i bolesna wprawdzie jest droga, którą iść trzeba, gdy się już wszystkie rozwieją złudzenia, ale chociaż wpośród niej niepodobna się ochronić od smutku i tęsknoty, trzeba jednakże umieć się ochronić od rozpacz i życia swojego nie nazywać zwichniętem. Przeciw tej to rozpacz i zniechęceniu niechaj młoda kobieta wcześniej umacnia swą duszę; niech będzie przygotowana na możliwe kiedyś osamotnienie w życiu; niech za zasadę sobie weźmie, że pójść zamąż dla interesu, przez wyrachowanie lub próżność, pójść za człowieka niegodnego szacunku albo wbrew sercu swojemu, to już stokroć lepiej zostać się sama na świecie. Wtenczas, nie kochając nikogo wyłącznie, nie potrzeba przynajmniej kłamać miłości; nie mogąc iść z kimś ręką w rękę, we wzajemnej zgodzie i ku wspólnemu celowi, można przynajmniej nie iść wbrew przekonaniom swoim. Znaleźć zaś sobie cel szlachetny, choć go nam wyraźnie nie wskazała Opatrzność; umieć być użyteczną, choć się nie pójdzie zwykłą kobiet koleją; zyskać własną zasługą szacunek i poważanie; otoczyć się kochającymi i wdzięcznymi sercami potrafi prawdziwie zacna, dobra, czuła, rozumna i religijna kobieta; a dokazawszy tego, ani zniechęcenia do życia, ani żalu do ludzi, ani nawet czczości w duszy czuć nie będzie, chociażby starą panną została.

Takich zawiedzionych lub rozczarowanych kobiet jest dużo i będzie może coraz więcej, ale przecież nie wszystkie. Miłość, to nie tajemniczy kwiat paproci, którego niczyje jeszcze nie widziało oko; są wybrani, co go znajdują; ale kwiat ten inną znowu ma własność: jest on tak przedziwnej białości, że go najmniejsza przyćmić może skaza; kobieta więc, która go zerwała, niechżeż czystości jego nie splami, jeżeli nie chce, ażeby



jej zwiądl w dłoni. Jest to najważniejsza i jedyna może przestroga, którą każdej narzeczonej dać można; narzeczeni bowiem, to jeszcze nie małżonkowie, związek ich z łatwością zerwany być może: potrzeba więc, aby młoda osoba, spotkawszy kiedyś tego, co miał być jej mężem, przejść mogła obok niego z podniesionem czołem i bez zarumienienia. Jest pewna granica, którą proste formy towarzyskiej przyzwoitości stawiają między mężczyzną i kobietą; granicę tę usunąć im wolno dopiero u stopni ołtarza: ani miłość wzajemna, ani uroczyscie dane słowo nie upoważnia jeszcze do jej przekroczenia. Tym razem zasady przyzwoitości światowej zgadzają się nietylko z prawem Bożem, nietylko z poczuciem godności niewieściej, ale i z osobistym interesem narzeczonej. Kościół żąda, by biała niewinności zasłona powiewała nieskalana na czołe oblubienicy, a na to potrzeba nieledwie, by ten, któremu ma zaprzysiąc miłość wieczystą, dopiero pod stulą kapłańską uczuł pierwszy uścisk jej dłoni. Uczucie godności niewieściej nakazuje znowu uważać za zniewagę każde zbyt poufale zbliżenie mężczyzny, który nie jest jeszcze do tego tytułem męża upoważniony; a interes własny powiada, że tylko kobieta, która umiała wzbudzić dla siebie poszanowanie, może się spodziewać, że stale kochana będzie. Pozornego chłodu, któryby z zastosowania takich surowych wyniknął zasad, niechaj się ona nie lęka: powiew jego nie zagasi rozżarzonego płomienia, ale go owszem rozdmucha; a przeciwnie, miłość, opierająca się tylko na zewnętrznych, choćby najniewinniejszych czułości oznakach, wylewająca się w nieustannych oświadczeniach i zakłęciach, traci prędko cały swój urok, budzi w sercu czczość i nudę, która jeśli nie pociągnie za sobą zerwania zamierzonego związku, to spowoduje niezawodnie zupełne zobojętnienie w przyszłości. Zapobiec temu potrafi każda kobieta, jeżeli tylko zachowa tę powagę i skromność dziewiczą,

w której jest tyle powabu; a nawet, chociażby ten, którego pokochała, niegodzien był czystego jej serca, chociażby miłość jego same tylko stanowiły żądze, ona świętością własnego uczucia potrafi oczyścić duszę jego ze wszystkich ziemskich brudów i poziomą zrazu miłośćkę, mogącą przeminąć z pierwszym pocałunkiem, uszlachetni i podniesie do potęgi prawdziwej i świętej miłości.

Kobieta, która jest zdolna tak pojmować to uczucie, nigdy go też lekceważyć w drugich, nigdy się niem bawić nie będzie. Miłość prawdziwa jest tak szacowna, że czynić sobie z niej igraszkę, jeśli nie zawsze jest zbrodnią, zawsze jest naganną płochością: bo jeśli dziś się to może nie trafia, by ktoś z miłości umierał, zawsze jednak można zranić boleśnie szlachetne serce, można jadem zwątpienia zatruć młodzieńczą, ufającą duszę, a przynajmniej zadrasnąć dotkliwie czyjąś miłość własną. Jeżeli więc czasem kobieta mimo swej wiedzy i woli obudzi w kimś uczucie przez siebie nieodwzajemnione, niechże przynajmniej tego, co ją pokochał, ani słowem, ani spojrzeniem nie ludzi. Miłość, której dzielić nie można, nie powinna ani cieszyć, ani gniewać, ale tylko zasmucać, tak samo, jakby zasmucała rana niechcący komuś zadana, której ze świadomością nie godzi się już przynajmniej rozjatrzać. Młoda osoba, o której rękę wielu się nadaremnie oświadcza, musi być koniecznie lekkomyślna lub próżna: kobieta bowiem odgaduje z łatwością uczucie, którego jest przedmiotem, szczególnie, gdy go nie dzieli i trzeźwem patrzy się okiem; powinna więc dać to do zrozumienia wcześniej, zapobiec, by do stanowczego nie przyszło wyznania, i tym sposobem wyraźnej, a tak w każdym razie przykrej oszczędzić komuś odmowy. Tak postąpiwszy, dwójką osiągnie ona korzyść: pozyska bowiem dla siebie szacunek i nie straci przyjaciela; przyjaźń zaś dwójga ludzi, z których jedno kiedyś prawdziwie kochało, jest

niezawodnie bardzo chlubnem dla serca kobiety świadectwem. W tem miejscu wypada mi jeszcze pomówić o położeniu młodej osoby w towarzystwie, do którego należy, bez względu na wyższą lub niższą jego sferę.

Oficjalne wprowadzanie w świat każdej dorosłej panny, zgóry obmyślane popisywanie się z nią wszędzie, gdzie tylko widziana być może, gonienie za wszelkiego rodzaju zabawami, nietylko nie jest koniecznym w życiu kobiety warunkiem, nietylko nie pomaga jej do prędszego wyjścia za mąż, ale może nawet przeszkadza temu i jest w każdym razie śmieszne i poniżające dla niej. Nie wynika jednak z tego, ażeby młoda osoba nie miała korzystać ze sposobności zabawienia się, jeżeli ta jej się trafia, i jeżeli położenie rodziców odpowiednie jest temu; bo i kiedyż może być stosowniejsza do zabawy pora, jak nie w młodości, w której się wszystko uśmiecha, w której świat cały tak jasne, tak złociste ma barwy. Zresztą pewne otarcie się w towarzystwach jest każdemu koniecznie potrzebne, nadaje bowiem człowiekowi tę cechę powierzchownej ogłady, która chociaż wewnętrznej jego wartości nic nie przyczynia, wielką jednak może mieć wagę w późniejszych jego z ludźmi stosunkach. Niech więc młode panienki bywają w towarzystwach, bywają na balach i wieczorach, ale niech też umieją z łatwością się bez nich obejść, niech ich nie wymagają koniecznie i niech się zanadto niemi nie zajmują. Zabawa tańcząca, to taka stosowna dla młodego wieku rozrywka, że jej ganić nie można, ale niech ona uważana będzie tylko za rozrywkę, nie za środek wydania się za mąż, bo ten najczęściej chybia, nie za sposób zyskania triumfów, schlebających tylko próżności, bo te nie są godne myśłacej i z zacnem sercem kobiety. Mówiliśmy już wyżej, jak poniżające jest dla panien ich zapalczywe polowanie na mężów, teraz dodamy, że ono pozbawia je nawet niejednej przyjemnej i wesołej chwili. Zaprzeczyc



trudno, że niema zabawy tam, gdzie się zbierają same kobiety; mężczyźni zaś często od ich towarzystwa stro-  
nią dlatego jedynie, żeby nie dać ludziom powodu do  
posądzania ich o matrymonjalne zamiary. Gdyby więc  
w takich wspólnych młodzieży zgromadzeniach było  
więcej swobody, gdyby mężczyźni nie podejrzewali, że  
ze wszystkich stron czyhają na nich, by ich koniecznie  
do ołtarza zaprowadzić, toby się niezawodnie daleko  
lepiej bawiono. Wesola pogadanka lub taniec, są to  
rozrywki, których młodzi potrzebują, ale czyż koniecz-  
nie znaczy to, że każda dłuższa rozmowa lub taniec,  
kilka razy powtarzany, ma jakąś moc obowiązującą?  
Wprawdzie, gdy na wieczorze lub jakim większem  
zebraniu młoda osoba spotyka kogoś jednego, wy-  
branego, zabawa, która była tylko zwyczajną roz-  
rywką, nabiera dla niej takiego uroku, że ją do naj-  
droższych kiedyś policzy wspomnień. Mimo to, nie go-  
dzi się uroków takich wyzyskiwać sztuką, bo jakkol-  
wiek, usprawiedliwiając tę potrzebę kochania, która się  
w każdym młodem budzi sercu, pojmujemy, że kobieta  
czasem pragnie się podobać, trzeba jednak, aby pra-  
gnienie to nie wyrodziło się w niej nigdy w kokieterję.  
Pomimo tej dziwnej słabości mężczyzn, którzy zwykle  
tak łatwo dają się kokieterją usidlić, każda kobieta  
dbała o swą godność niewieścią, powinna gardzić tą  
lichą bronią, nawet wtenczas, gdy nią szczęście całego  
życia wywalczyć może, a cóż dopiero, gdy zwycięstwo  
tylko próżność jej zadowala. Wszystkie jawnie skła-  
dane hołdy, wszystkie próżne grzeczności obrażały  
ją owszem powinny, bo to jest dowodem wielkiego lek-  
ceważenia, gdy mężczyzna ośmieli się np. powiedzieć  
której, że jest piękna. Do pochwały takiej upoważniony  
być może tylko mąż lub narzeczony, ale nikt inny; pew-  
ną też jest rzeczą, że żadna rozumna i szacunku godna  
kobieta pochwał takich nie słyszy, choć jest najpięk-  
niejsza, bo nikt się nie ośmiela obrażać ją niemi. Przy

takim sposobie widzenia rzeczy, mniej ona może dozna w swem życiu tych olśniewających przyjemności, za którymi uganiają się niektóre, nic jednak na tem nie straci, bo do szczęścia, nie hołdów tłumy, nie licznych wielbicieli, ale pozyskania jednego serca potrzeba tylko kobiecie.

## VII

### KOBIETA JAKO ŻONA.

Mając mówić o małżeństwie, muszę pierwszej zwrócić uwagę na bardzo ważny zwrot, który dostrzec się daje w dzisiejszej powieści obyczajowej. Dawniej autor kładł zwykle pióro, gdy już kochanków połączył przed ołtarzem, dziś często bardzo zaczyna dopiero śledzić ich kroki, gdy od ślubu odchodzą, i niekoniecznie na manowce występnej miłości prowadzi swoją bohaterkę, gdyż bohaterem jest mąż, nie kochanek. Jeśli powieść bywa zwykle zwierciadłem społecznej sobie epoki, to i ten zwrot jej dzisiejszy powinienby dowodzić większej moralności tegoczesnego świata, tem bardziej, że nie tylko pióro kobiece, pióro zacnych naszych Polek, Angielek lub Szwedek takie kreśli obrazy; spotykamy je nawet w utworach francuskich autorów, a oni namalowali przecież tyle tych buduarowych piękności, których cały urok leży w otaczających je bogatych ramach, w koronkach i aksamitach, w zwierciadłach i kobiercach, będących najodpowiedniejszym tłem tego pospolitego a tak poniżającego kobietę dramatu, odgrywanego się zwykle w ich książkach, między żoną, kochankiem i oszukiwanym mężem, że ich ani o zbytnią surowość obyczajów, ani o nadto wygórowany dla kobiet szacunek obwiniać nie można. Jeżeli więc dziś, zacniejszą trochę dając rolę kobietom, widać, że i w rzeczywistości ogół ich na większe zasługuje teraz poszanowanie.

Przytem, kiedy pomimo tak powszechnej, przez żony nawet same tolerowanej dotąd, niewierności mężów bohaterki dzisiejszej powieści ośmielają się domagać, by obowiązek dochowania wierności na obydwóch w małżeństwie ciążył stronach, dzielonom zaś gardzą uczuciem, na lekkomyślne mężów swych postępkę patrzą nie z tą, co dawniej, filozofją, ale z obrzydzeniem i, raz straciwszy szacunek, kochać już więcej nie mogą, widać, że takie poczucie doznawanej krzywdy, taki milczący opór przeciw zakorzenionemu w rodzinie nadużyciu jest także na porządku dziennym. Gdyby jednak nie żaden objaw życiowy był powodem tego powieściowego odbicia, i tak jeszcze zasługiwałby on na uwagę, jako wskazujący kobiecie środki odzyskania zapoznanych praw swoich i podniesienia wzajemnego małżonków stosunku do tej wysokości, którą naznacza mu religja, a z której stracić usiłuje go cywilizacja, upowszechniająca dziś śluby cywilne, bez względu na ich następstwa.

Jakie ku celowi temu prowadzą drogi? oto jest pytanie, które sobie stawiam.

Stanowisko żony najrozmaiciej przez mężów bywa pojmowane. Dla jednych żona jest sprzętem w salonie, maszynką do przyjmowania gości; dla drugich jest ona wyręczycielką nieumiejętnych kucharek i najwięcej zaufania godną klucznicą; dla innych jeszcze wygodnem i bezpiecznem zmysłowych uciech narzędziem. Że taki bierny tytuł żony nie może wystarczać rozumnej i czulej kobiecie — to pewno. Z początku, zaślepiona uczuciem tem silniejszym, im jest świeższe, nie czuje ona może położenia swego; ale gdy chwile szału przemina, gdy trzeźwiej wkoło siebie spojrzy, jakżeż jej złudzenia smutno się rozwijają. Jej potrzeba było dla duszy drugiej duszy, któraby jej odpowiedzieć mogła, dla myśli drugiej myśli, któraby ją pojmowała, dla serca drugiego serca, któreby każde jego odczuło wzruszenie, —



a tymczasem mąż każe jej się obywać powierzchownemi tylko przywiązania oznakami i sądzi, że uściskiem i pocałowaniem wszystkie jej zaspokoi pragnienia. Miłość więc taka nie może być stałego szczęścia rękojmią i nie ona też jest marzeniem wszystkich młodych i nieskalanych serc, które, poddając się tym warunkom życia, w których inni jedyną widzą rozkosz, widzą w nich tylko konieczność, tylko obowiązek, tylko prawo Boże. Szczęście pożycia małżeńskiego — o! to co innego. Szczęście, to w tych wzajemnych poświęceniach, wzajemnej pomocy i osłodzie w trudnych razach życia; w tych wspólnych chęciach, celach, dążeniach; w wspólnej pracy na drodze szlachetnych i użytecznych usiłowań; w nierozzerwanym związku dusz, nie ciał. Szczęście takie nie przemienie wraz z miodowym miesiącem i niknącemi wdziękami młodości; ostoi się nawet wśród tych drobiazgowych przykrości, bogatym tylko mniej znanych, a stanowiących prozę rodzinnego życia, o którą już niejedno szczęście się rozbiło, która już niejedną zagasiła miłość. O tem pomówimy później. Teraz, wracając do pierwszego założenia, zastanówmy się, jaki bez względu na materialne położenie ma być ten stosunek męża do żony, oparty na prawach boskich i ludzkich, a będący podstawą rodziny, jak ta jest podstawą społeczeństwa. Otóż ten stosunek powinien być przede wszystkim serdeczny i szczery. Miłość i ufność, to dwa nieodzowne ogniwa węzeł ten spajające, których siłę wzajemny tylko stanowi szacunek, a zerwanie całą już szczęścia budowę obala. Na trwałości tej budowy więcej daleko zależy kobiecie aniżeli mężczyźnie, ona więc głównie zastanawiać się winna, jak ma upadkowi jej zapobiegać. Otóż, jeżeli jest kochana, niech pierwszym jej staraniem będzie, by te surowe obowiązki, które wraz z ślubną obrączką na męża swego włożyła, te więzy, które go z nią łączą, nie ciążyły mu zbyt ciężko, by to ciche spokojne szczęście, które zgotować mu jest w jej mocy,

było mu słodsze od tej wolności, której dawniej z tak gorączkowym zapalem ku złemu może używał. Niech go więc nieuzasadnioną podejrzliwość nie dręczy, niech zazdrością swą kroków jego nie krępuje, niech zbytecznych dla siebie nie wymaga ofiar, a szczególnie niech się stara, by tytuł żony nie pozbawiał jej tej skromności niewieściej, która powinna być zawsze aureolą kobiety, chociaż już zamężnej, a nawet matki. Niech więc będzie umiarkowana w oznakach swego uczucia, niech sama nie wywołuje ich nigdy, niech się czułością swą nie naprzykrza mężowi, jeżeli nie chce zgotować sobie tego upokorzenia, by czasem jej uścisk albo pocałowanie przyjęte było z widoczną niechęcią i znudzeniem. Takie postępowanie żony nie jest taktyką chłodnej obludy i wyrachowania, ale wynika z poszanowania siebie samej, ze szlachetnej dumy kobiecej, i zapewnia każdej tę korzyść, że miłość jej nie spowszednieje tak prędko, a oznaki jej zawsze równie cenne, równie pożądane będą mężowi.

Co do zaufania — powinno być ono zupełne i bez granic; chcąc zaś na zaufanie zasłużyć, potrzeba tylko zawsze chodzić drogą prawdy, potrzeba, by przeszłości małżonków żadna nie kryła zasłona, by w obecnej chwili żadna ich myśl nie była tajemna. Niech najłżejsze kłamstwo ust żony nie splami, a nietylko postęпки, ale i słowa jej nigdy w podejrzenie podane nie będą; a gdy taka otwartość i jawność będzie znamionowała życie tak żony, jak męża, wtenczas będą mogli powinszować sobie, że swej wzajemnej miłości i szczęściu nieugiętą niczem rzucili podwalinę.

W powieściach nie znajdujemy podobnych wskazówek, bo też ciche bez burzy pożycie małżeńskie, to zbyt błady do powieści obraz; praktyczne więc rady moje nie miewają tam zastosowania. Jeżeli jednak zwykłe życia koleje do powieści się nie nadają, to, przeciwnie, wiele książkowych dramatów odgrywa się i w rzeczywistości.

Jednym z nich jest ta nie licząca się, niestety! do wyjątków historia nieszczęśliwych i zdradzanych żon i mężów, o których i mnie pomówić teraz wypada. Mąż, oszukujący żonę, nieczęsto bywa głównym bohaterem powieści, bo jest to także postać zbyt pospolita i mały budząca interes: niewierność mężów, to rzecz tak błaha i zwyczajna, że nie zajęłaby wcale czytelnika. Istotnie, wypadek to zwykły, codzienny, nie zastanawiający już dziś nikogo, tak dalece, że biedne zdradzane żony uskarżać się nawet na swój los nie powinny, bo on jest udziałem wszystkich; a jeżeli znowu która tak jest naiwna, że wiary w serce męża nie traci, musi się z tem tać przed światem, jeżeli się ludziom śmieszną wydać nie chce. Takie to przywileje nadała mężczyźnie opinia; w pośród zaś moralnych społeczeństwa naszego sprężyn, ona jest jedną z najsilniejszych i prawa, które stanowi, są nieledwie tak niewzruszone, jak artykuły kodeksu albo Ewangelji. Czemuż jednak obok wielkiej powagi swojej tak jest stronna i niesprawiedliwa? Dla kobiety nieubлагana, zbrojna w zabójcze pociski za najlżejsze uchybienie, dla mężczyzny całkiem pobłażająca albo też bezsilna. To samo, co kobietę okrywa hańbą, mężczyźnie żadnej nie przynosi ujmy; mówią o nim tylko, że burzliwą przeżył młodość, choć to wyrażenie bardzo niestosowne: ten wyraz »burza« daje wprawdzie nieraz obraz spustoszenia, ale wyobraża także coś szczytnego, wielkiego, zdumiewającego, gdy tymczasem to, co rozumiemy przez burzliwą młodość, daleko podobniejsze do błota i śmieci, niż do grzmotów i błyskawic. Młodość — wedle słów poety —

..... jest rzeźbiarką,  
Co wykuwa żywot cały,

takie więc poniewieranie się w młodości nie może być bez wpływu na całe życie człowieka i, przy wydaniu o nim sądu, powinno być rzucone na szalę. Tak samo



i te zwyczajne a uprawnione już nieledwie w opinii uchybienia obowiązkom męża mają także zbyt wielki wpływ na pomyślność rodzin a szczególnie na szczęście kobiety, by się godziło tak je lekceważyć. Wyobraźmy sobie tylko smutny los młodej małżonki, co to w domu rodzicielskim, owiana białem anioła niewinności skrzydłem, marzyła o miłości i szczęściu i wydzieła się z pod świętej straży matki, by obok wybranego swego wejść na tę nową drogę życia, która się przed nią otwiera, a na której spotyka ona tylko zawód i rozczarowanie. Bo najpierw za tę czystość bez skazy, za tę świeżość uczuć, za tę miłość wyłączną, zapłacona jest sercem wystygłem, resztkami żądz i uczuć i kilku czulemi słowami kłamanej miłości, które już tyle razy temi samemi usty powtórzone i sprofanowane były. I niedość, że między nią i tym, którego ukochała, stawać zawsze będzie wspomnienie tych ohydnych postaci, które przed nią zajmowały jej miejsce, ale jeszcze i teraz, kiedy miłość prawdziwa miała go już podnieść z tej kałuży błota, w której dotąd pelzał, on jeszcze ku niej powraca, jeszcze pić z niej pragnie. I to mu uchodzi bezkarnie, opinja go nie potępia, często usprawiedliwia, a żona patrzeć musi przez szpary. Czy powinna być, tak jak opinja, pobłażająca, na to już przede mną nie w jednej powieści dano odpowiedź przeczącą<sup>1)</sup>.

Jeżeli powodem złamania wiary małżeńskiej jest zbojętnienie dla żony i inna jaka istotna miłość, zdrada taka, choć bolesna dla niej, nie odbiera jej przynajmniej szacunku dla ukochanego, nie czyni go zupełnie niegodnym jej miłości, może go więc kochać jeszcze. Jeżeli jednak nawet żona, która jest kochaną, powinna powstrzymywać zbyt żywe uczucie swych objawy, jeżeli miłość jej nie ma być nigdy natrętna, cóż dopiero gdy ujrzy najmniejsze zbojętnienie męża. Wten-

<sup>1)</sup> Pan de Camors Feuillet'a. Pamiętniki mężatki.

czas każdą oznakę obojętności. niechaj mu płaci stokroć większą obojętnością jeszcze, bo czułością i pieśczołami wtenczas pewno go ku sobie zniechęci do reszty. Łzy, narzekania, wyrzuty nietylko że także nie powrócą straconego serca, ale do tego straszliwie są upokarzające dla kobiety, która w tym razie powinna szczególnie zachowywać tę powagę w obejściu, która, jeśli nie miłość, to poszanowanie obudza. Jedyne zaś środki, jakiego użyć jej się godzi, jest to niezmienna zawsze słodycz w obejściu, która ją każdemu tak miłą czyni, to uprzedzanie wszystkich chęci mężowskich, które jest jej obowiązkiem, to dobroć, malująca się w każdym ruchu, kroku, spojrzeniu, którą niekochający nawet mąż będzie musiał ocenić i która większym stanie mu się wyrzutem, niż wszystkie płacze, spazmy i skargi. Jeżeli, przybrawszy taką postawę wobec męża, nie odzyska się jego serca, to przynajmniej zachowa się jego szacunek i należne względy; każdy inny sposób postępowania i takich nie zapewnia korzyści, a głównego celu nie osiągnie nigdy.

Tak, według mego zdania, postępowaćby powinna każda żona, która przestała być kochaną; ale iluż to jest mężów, co to niby żony swe kochają, a jednak zdradzają co chwila; to zaś trudniej przebaczyć, bo sercu rozkazywać niepodobna, to nie leży w ludzkiej woli, ale jakżeż można usprawiedliwić kogoś, jeśli jest nieuczciwy. Wprawdzie świat niewiary mężowskiej nie nazywa nieuczciwością, ale tak ją nazwał Chrystus, musi to więc być prawdą. Rozvodu niema dla katolików i być nie powinno, bo małżeństwo to przecież coś więcej niż kontrakt dzierżawny lub spółka handlowa; — unieważnienie małżeństwa to również hanbiący wybieg tylko, ale rozdział dla każdej w ten sposób znieważonej żony jest prawem na Ewangelji opartem i przez Kościół upoważnionem; niekażda jednak, szczególnie, kiedy ma dzieci, odwołać się do niego może i powinna. Jakaż

to Sams  
gdy 2010  
za Sams  
mógł być  
nieco zado  
wryty

więc pozostaje jej droga? Uskarżać się, płakać głośno, robić wyrzuty mężowi i w tym razie niepodobna kobiecie, czującej swą godność; budzić w nim zazdrość udaną zalotnością także się nie godzi, bo niewierność męża nie upoważnia żony do najmniejszej płochości, nie daje jej prawa odwetu: przysięga, choć z jednej strony złamana, dla drugiej nie traci świętości, i żona, choć zdradzona, powinna szanować w mężu ojca swoich dzieci, dbać o jego zdrowie i wygodę domowe, ale to już wszystko. Kochać go, uścisku jego nie odepchnąć ze wzgardą, to już chyba nad jej siły. Uścisk takiej wiarołomnej dłoni, to większa zniewaga niż niewierność sama, pocałowanie takie gorsze od obelgi. Odbierać takie same dowody przywiązania, jakimi mąż inne może obdziela osoby, to zbyt wstrętne; chociaż więc, będąc już matką, i takie nawet uchybienia można z zaparciem się siebie znosić a nawet ukrywać przed światem, ale przebaczać je, usprawiedliwiać — nigdy. Chcąc usprawiedliwić, trzeba by pierwej powiedzieć sobie, że na świecie nie żyją ludzie, tylko same zwierzęta, trzeba by zamknąć oczy na tę brudną kałużę zepsucia, w której oni grzęzną, i zanurzyć się w niej samej, by nie czuć zgnilizny. Inaczej, chociaż opinia piętnem pogardy nie naznacza wiarołomcy, niechaj tem piętnem naznaczy go żona, a przyjdzie może chwila, że, siadając u domowego ogniska, rumieńcem wstydu zapłonie mu czoło, czyste wobec świata. Tak właśnie postępują bohaterki dzisiejszych romansów i wychodzą na tem bardzo dobrze, tak i w rzeczywistości czuć i postąpić powinna każda żona, a podniesie się w szacunku męża, który przestanie uważać ją za tak ziemską i niską istotę, jak ją zwykł uważać; przekona się, że jej czegoś więcej potrzeba nad zaspokojenie tych zwierzęcych popędów, którym on sam powodować się daje, i w pobłażaniu jej nie znajdzie przynajmniej upoważnienia do coraz nowych uchybień. Jeżeli zaś umiała ona rozniecić



w sercu jego iskrę prawdziwej i świętej miłości, pojmie on czasem, że taka tylko miłość jest białym, niewiedzącym kwiatem w ogrodzie ziemskich rozkoszy, które mijają tak prędko — i, otrząśnięty z ich pyłu, zapagnie wonią tamtego orzeźwić chorą i znużoną swą duszę.

Jeszcze z jednego punktu spojrzeć nam trzeba na stosunek małżonków, bo, niestety! ten przybytek miłości i szczęścia, jaki oni wspólnemi siłami wznieść mogą, nietylko przez męża profanowany bywa. Są i żony, które nie umieją być w nim kapłankami. Są to puste, bezduszne i bezsercowe lalki salonowe, dla których tytuł mężatki jest tylko firmą niezależności i znaczenia w świecie, a mąż dostarczycielem strojów i wszelkich zbytkownych potrzeb; są to egzaltowane marzycielki z chorą wyobraźnią, ze skrzywionemi pojęciami, niezdolne patrzeć trzeźwo na życie i jego obowiązki, wiecznie utyskujące, że ich nikt pojąć i zrozumieć nie umie, którym ciche domowe szczęście nie wystarcza, którym chce się koniecznie być heroinami z romansu. Jak jedno, tak drugie są to biedne, litości godne istoty. Pierwsze, żyjąc bezmyślnie, bez pojęcia o tem szczęściu, jakie kobieta znaleźć może w uczuciach żony i matki, nie umiejące żadnych trwałych zdobyć sobie zasług, płaczą po minionych wdziękach i uciechach młodości, po której, prócz gorzkich wspomnień, nie zostaje im na osłodę późniejszych lat ani pełna czci miłość dzieci, ani szacunek powszechny. Drugie, wyobraziwszy sobie, że są stworzone do jakichś niezwykłych przeznaczeń, odtrącają często króć istotne szczęście, a za wymarzonem goniąc i tęskniąc ideałem, zamiast szukanego kwiatu, nieraz zrywają chwasty, więc okaleczone niemi i zbolale, patrzą w przeszłość z żalem i wstydem a w przyszłość z rozpaczą. Nie tak, nie tak strzeże swych domowych świętości chrześcijańska niewiasta. Jeśli jej dano iść dłoń w dłoń z tym, którego ukochała, i z nim razem pielęgnować młode latorośle wkoło niej wzrastające, by je

własnem rozwijać tchnieniem, to już osiągnęła szczyt ziemskiego szczęścia i ziemskich radości, obok których, czemu są czcze przyjemności świata? czyż nie szychem tylko? czemu te wybudzałe urojenia entuzjastek? czyż nie dymem bez pożytku płonącego ognia? Jeżeli zaś los zgotował jej zawód, jeżeli ten, w którego rękę całą złożyła przyszłość, niegodzien zaufania i miłości, jeśli ani kochać, ani nawet szanować go nie może, niepodobna, by wtenczas ze łzą w oku nie oglądała się za jasnym snem swej miłości, by w duszy strasznej chwilami nie czuła próżni, by się pod ciężarem niecofniętej już, a taką czarną chmurą zaciemnionej, nie ugięła przyszłości. Ale jeśli nie chce utracić wiary w siebie, wątpić o wszystkim i wszystkich, niech się próżno nie buntuje przeciw nieodwołalnemu przeznaczeniu wyrokowi, niech w gorączkowej uniesieniu nienawistnych samowolnie nie rozrywa więzów, niech palonemi niezaspokojonem pragnieniem ustami zakazanego nie kosztuje owocu, bo owoc ten, choćby najśłodszy, zawsze jest zatruty. Mniejsza o dręczącą ciągle obawę, by jej wina nie stała się jawna, mniejsza o grożący jej może ze strony męża wybuch szalonej zazdrości lub sprawiedliwego gniewu, mniejsza, że ją świat obrzuci błotem i wytykać będzie palcem, nieszczęsna ta ofiara namiętności i szału więcej jeszcze nad to wszystko stawia na kartę dla chwili upojenia. Nie było, niema i nie może być miłości występnej, któraby była stała i niezmienna, któraby szczególnież w sercu mężczyzny nie pociągnęła za sobą niesmaku i przesycenia, a to dlatego, że miłości takiej brak najpierwszej podstawy: szacunku dla kobiety. Czyż więc może być sroższa dla niej kara, jak ta pogarda, wyczytana w oczach, w których dotąd tyle czytała obietnic; a to jej nie minie, choćby najnamiętniej była kochana. Chwila jej upadku zwykle ją z całego odziera uroku, który znika bezpowrotnie. Już odtąd z podniesionem czołem stanąć nie będzie śmiała nietylko

przed mężem i przed światem całym, ale nawet przed wzrokiem tego, któremu poświęciła wszystko, a z tej miłości płomiennej, wielkiej, potężnej, która miała być wieczystą, zacznie opadać listek po listku, jak z drzewa robactwem toczonego, zacznie wysychać kropla po kropli, jak z potoku, przez burzę w niewłaściwe rzuconego łożysko, i wkońcu zostanie tylko trochę mułu.

Tak więc poza obrębem obowiązku niema szczęścia dla kobiety, nie może być ziszczenia jej pragnień i nadziei, bo tylko miłość uświęcona Sakramentem może trwać aż do grobu a nawet i poza grobem; pomimo to niech ona nie bluźni, że życie jej zwichnięte, cel jego chybiony, że dla niej niema już przyszłości i nadziei. Ducha silnego pierwszy wicher nie złamie, serca nie wystudzi, cel szlachetny zawsze stworzyć sobie można; takie rozpaczliwe szamotanie się niegodne żadnej rozumnej i samodzielnego ducha kobiety, a cóż dopiero tej, która już jest matką. Ten wyraz matka zawiera sam w sobie wszystkie skarby uczuć i radości ziemskich, bo jeżeli miłość to treść życia kobiety, miłość macierzyńska jest życia jej koroną. Żona więc, choćby najnieszczęśliwsza, nie może czuć się całkiem nieszczęśliwą, nie może czuć w sercu próżni, jeżeli zarazem jest matką. Troskliwość o zdrowie dziecka, o rozwój jego moralny, o byt jego na przyszłość, są to rzeczy największej wagi dla kochającej matki, obok których w sercu jej nie powinnyby się budzić żadne osobiste, niezaspokojone pragnienia i chęci, żadna za czemś nieokreślonym tęsknota, bo ta jedna miłość może wypełnić już całe serce kobiety, może zaspokoić wszystkie jego potrzeby. Biada tej, która tego pojąć niezdolna — dla niej i Niebo nie będzie miało rozkoszy!



## VIII

### KOBIETA JAKO GOSPODYNI.

Mówiliśmy wyżej, jak wielki wpływ na szczęście małżonków mogą mieć te, trafiające się codzień niedłgie, przykrości domowe, które prozę rodzinnego życia słanowią. Ta proza życia jest jak skała podwodna, której zdaleka nie widać, zakochani więc zwykle jej nie dostrzegają. Narzeczoney w innym blasku widzi swą ulubioną przed ślubem, a w innym później żonę. Tamta myślała tylko o podobaniu mu się; widywał ją zwykle w strojnej sukni, w salonie, w pośród ożywionej i zajmującej rozmowy, przy fortepianie lub z ładną robotką w ręku. Ta, występując jako żona, w charakterze pani domu, którym ma zarządzać, musi zdjąć świąteczne szaty i ukazać mu się w tem bladym, codziennym świetle, które nie tylko sztucznego nie dodaje jej wdzięku, ale czasem i rzeczywisty przygasza. Przy wielkich dostatkach zmiana ta nie jest zbyt rażąca i żona, pragnąca utrzymać przywiązanie męża, może wtenczas z łatwością dom miłym mu uczynić, myśleć zawsze o podobaniu mu się, może usuwać z przed oczu jego wszystko, coby nudzić albo drażnić mogło, i ochronić go nawet od słyszenia krzyku dziecka, który tylko dla ucha matki nigdy przykry nie jest. Ale w mniej pomyślnem materialnem położeniu zadanie to daleko jest trudniejsze. Przy szczuplejszem mieszkaniu, przy niedostatecznej usłudze, co chwila zetknąć się można z temi nieprzyjemnościami domowymi, które, chociaż tak drobne, jednak nieraz zatruć mogą życie.

Przy zajęciach około gospodarstwa i domu, wśród ustawicznych utarczek ze służącymi, żona często nie ma ani czasu, ani humoru, żeby, dla przypodobania się mężowi, codzień być starannie ubraną, uśmiechniętą, wesolą, aby uprawiać talenta, które go dawniej zachwy-

cały, bawić go dowcipną rozmową, która go zachwycała. Niepodobna jej też ukryć przed nim tych wszystkich gospodarskich zajęć, tych czynności około porządku domowego, których tak mężczyźni nie lubią. Często też mąż, nie znajdujący w żonie dawnego narzeczonej powabu, przestaje obok niej szukać miłego spoczynku po pracy i ucieka z domu, skąd go wypędzają kłótnie służących, krzyki dzieci, porządkowanie mieszkania i tyśiące innych niezwykłych niby, a jednak tak często w ciągu roku trafiających się zatrudnień. Staje się więc powoli gościem w domu, do którego przychodzi tylko, żeby się przespać i zjeść obiad, a dla żony, zamiast słowa miłości i zaufania, znajduje tylko wyrzuty z powodu niedość smacznego obiadu lub źle wyprasowanej koszuli. Wobec takich przykładów można doprawdy nie dziwić się ludziom, że do materialnego bytu tak wielką przywiązują wagę, że serce i pieniądze na równą nieledwie kładą szalę. Tam jednakże, gdzie miłość na stałych oparta podstawach, tam niema takiego niebezpieczeństwa; miłość taka potrafi rozjaśnić najciemniejszą stronę domowego pożycia, a kobieta rozumna i kochająca, małemi nawet środkami, potrafi kochającemu mężowi dom rajem uczynić. Ku temu potrzebna jej przedewszystkiem wielka, niewyczerpana cierpliwość. Niechaj tylko każda żona, matka i gospodyni znośi te wszystkie powszedniego życia przykrości bez gniewu i zniecierpliwienia, a znajdzie pewno najskuteczniejsze na to zło lekarstwo; niech tylko nieuchronnych kłopotów domowych zbyt nie bierze do serca, niech im większego niż mają nie nadaje znaczenia, a nie tylko że sama wpośród nich nie zardzewieje i na krzykliwą a wyrzekającą gospodynię nie wyjdzie, ale i dla męża przechodzić one będą niepostrzeżenie prawie. Martwić się takimi drobnostkami nie warto, gniewać, nie pomoże; owszem gniewem i niecierpliwością utrudniamy tylko nasze sprawy, bo wtenczas żadnej rzeczy dobrze wykonać nie

jesteśmy w stanie, wszystko nam się nie wiedzie, jesteśmy niekontenci i zli na siebie, a ta niecierpliwość, ten gniew nasz stokroć większą sprawia przykrość, niż sama jego przyczyna. Zresztą pani, która tylko gniewa się, krzyczy i łaje, staje zupełnie narówni ze swemi sprzeczącemi się z sobą sługami, traci na powadze i do zuchwalstwa je pobudza, a pewno lepiej przez to usłużoną nie jest, robi tylko piekło w domu, w którym najwięcej cierpią mężowie, zmuszeni słuchać ciągłych skarg i uzaleń. Przysięgam, że dobrej gospodyni jest tylko bacność pilna na wszystko, pamięć o każdej drobnostce i wielka powaga w obęjściu ze służącemi. Można budzić uszanowanie, nie obudzając bojaźni, można nie dopuszczać służących do poufałości, a jednak nie traktować ich pogardliwie, można wreszcie umieć nakazać dla siebie posłuszeństwo, a nie dawać zbyt uczuć swej władzy i wyższości. Tym sposobem stosunek panów i służących przestanie być, jak się to często zdarza, stosunkiem wzajemnych wrogów, a opierając się na wzajemnej życzliwości, obydwom też stronom tak materialny, jak moralny prędzej przyniesie pożytek. Tam zaś, gdzie wszystkie domowe sprawy odbywają się w cichości i we właściwym czasie, gdzie we wszystkiem nietylko ład i porządek panuje, ale jest także i spokój, tam pewno mąż z domu uciekać nie będzie miał powodu i, nie szukając koniecznie pozadomowych rozrywek, znajdzie po dawnemu słodki spoczynek po pracy obok żony, która nie zużywszy na próżne żale i gniewy całej swej moralnej siły, mieć będzie dość czasu i ochoty, by nietylko być zawsze starannie choć skromnie ubraną, ale i umysłowi swemu nie dać zarzewieć.



IX

KOBIETA JAKO MATKA.

Wypada mi teraz zastanowić się nad tem uczuciem miłości macierzyńskiej, które jakkolwiek wrodzone i bezmierne, jakkolwiek jest szczytem ziemskich uczuć i źródłem najwyższych rozkoszy, powinno być jednak koniecznie w pewne ujęte karby, jeśli nie ma stać się tylko naganną słabością i błędem.

Wprawdzie dziś niepodobna już zalecać tej surowości, która była cechą dawnego wychowania dzieci, chociaż ona pod wielu względami zbawienne przynosiła owoce, a przeciwnie, dzisiejsza pobłażliwość rodziców a szczególnie zbyteczne matek pieczyoty, częstokroć bardzo złe za sobą pociągają skutki. Właściwą jednak złego przyczyną nie są pieczyoty i łagodne rodziców obejście, ale najczęściej nierozsądna ich miłość albo zaniedbanie. Wychowanie dziecka na dobrego, zacnego człowieka jest czasem trudnem bardzo zadaniem, bo gdy walczyć trzeba ze zgubnymi wpływami świata, gdy przytem wrodzona lekkomyślność lub fałszywa duma pomaga do rozwinięcia szkodliwych wpływów tych działań, wtenczas najusilniejsze matek starania bezowocnymi nieraz się stają. Ale wychowanie dzieci, nim jeszcze mają jakąkolwiek styczność ze światem, trudności takich nie przedstawia wcale. Nie wierzę, aby nie można było pokonać złych skłonności dziecka, gdy nie jeszcze do ich rozwinięcia się nie przyczyniło; nie wierzę w tak złą naturę ludzką, by zamłodu z łatwością do dobrego nagiąć się nie dała: a więc jestem przekonana, że jeżeli nie każde dziecko dobre będzie, gdy dorośnie, każde dobrem być może, póki jest dzieckiem, a jeżeli niem nie jest, to tylko dlatego, że ci co go wychowują nie chcieli, lub nie umieli dobrem go zrobić, lub może przyczynili się nawet sami do rozbudzenia

złych jego popędów. Jakże często np. gdy dziecko płacze, grymasi, nie słucha, matka mówi mu, że to nie jest jej synek, że to inny jakiś niegrzeczny przyszedł chłopczyk, wskazuje mu więc sama sposób, w jaki się ma przewinienia swego zapierać, i później już zawsze kto inny będzie płakał, kto inny grymasił, a nawet czasem kto inny zje otrzymane jabłuszko, jeśli on będzie miał ochotę dostać drugie. Czyż więc nie matka temu będzie winna, jeśli syn jej tak się kłamać nauczy, iż to pomału stanie się w nim niewykorzenionym nałogiem, gdy tak łatwo mogła go właśnie przyzwyczaić, by zawsze mówił prawdę, upewniając, że jedynie śmiałym przyznaniem się do winy może się uchronić od kary lub gniewu rodziców. Kiedy indziej znowu, matka, chcąc, aby dziecko bez oporu poszło spać lub ubrało się, straszy je, że mu sukienkę zabierze siostrzyczka, do łóżeczka położy się braciszek, i znowu samo chcąc robi je nieużytem i zazdrosnem, gdy przeciwnie, jeżeli dziecko jakiej rzeczy, która do niego należy, nie chce dać drugiemu, matka powinaby przemówić do jego serduszka, rozrzewnić je, obudzić w niem politowanie nad młodszym lub biedniejszym i tym sposobem skłonić, by z własnego popędu dzieliło się zawsze wszystkim z rodzeństwem lub ubogimi. Ileż innych wad jeszcze w podobny sposób matki same rozwijają w swych dzieciach, grzesząc nie rozpieszczaniem ale nierozsądkiem; niezawsze bowiem dziecko, któremu wszystko wolno, którego grymasom i uporowi wszyscy domownicy ulegać muszą, najbardziej bywa pieśczone. Częstokroć matki dlatego tylko dogadzają najniedorzeczniejszym żądaniom swych dzieci, żeby się pozbyć ich natręstwa i takim ustępstwem okupić sobie chwilę spokoju, a tym sposobem zbyt niej czułości nie dowodzą wcale. Matka wtenczas prawdziwie kocha i pieści swe dziecko, kiedy w swojej miłości bez granic staje się prawie jego służebnicą, kiedy w staraniach około niego na nikogo się nie spuszcza,

nikim się nie wyręcza, i tak je do troskliwości swojej przyzwyczajają, że dziecię najłatwiej na jej rękę usypia, do niej najrozkoszniej się uśmiecha, w jej uścisku znajduje ukojenie wszelkiej dziecinniej troski a nawet istotnego bólu, do niej z każdym żądaniem przybiega najśміielej. Ta matka, jeśli obok tego znajdzie w tejże samej miłości bez granic dość siły, żeby na nic złego nie pozwolić dziecku, wzbronіć mu tego, co by mu było szkodliwe, nie zważać, w razie konieczności, na płacz i opór jego, nie zepsuje go pewno pieśzczotami swemi i może je pieścić bezkarnie. Jeżeli np. dziecię w drobną swą rączkę uchwyci przedmiot jaki, którymby się skaleczyć, lub zepsuć go mogło, najlepiej, gdy matka, nie używając próżnych napomnień i perswazyj, nie czekając jego zgody, odbierze mu go z ręki i chwilowy płacz jego nie groźbą, lecz pieśzczotą utuli, byleby tylko rzeczy raz odebranej nie zwróciła mu później. Nie surowo, ale tylko stanowczo obchodzić się należy z dziećmi; niech raz poznają, że największym nawet krzykiem nie wyjednają tego, co im zostało wzbronione, a na drugi raz krzyczeć nie będą na pewno. Kiedy więc dziecię nie chce nas posłuchać, lepiej nie prosić, nie namawiać go długo, tylko odrazu do uczynienia zadość woli naszej zmusić i dopiero po stanowczem takim postąpieniu wytłumaczyć mu łagodnie, jeśli zrozumieć nas jest już w stanie, dlaczegośmy tak postąpili — przekonać, żeśmy mieli słuszność, przekonać np. dotykalnie, że świeca, do której rączkę wyciągało, parzy, scyzoryk kaleczy, a na drugi raz samo już pewno dotknąć się go nie zechce i słuchać nas będzie dobrowolnie. Sposób taki udaje się zawsze, ile razy dziecko do czegoś fizycznie może być zmuszone, tam zaś, gdzie trzeba koniecznie dobrej woli dziecka, gdzie może być użyty tylko przymus moralny i gdzie zmuszać należałoby chyba groźbą albo karą, tam już jest więcej trudności. Łagodnemu z natury i lękiwemu dziecku można powiedzieć »cicho bądź, zrób to lub



owo«, i ono usłucha — ale upartemu powiedzieć »cicho bądź«, to ono właśnie krzyczeć będzie w niebogłosey, rozkazywać mu coś, gdy nie ma ochoty tego zrobić, gniewać się, bić je nawet, to się je często jeszcze utwierdza w oporze. Takiego dziecka lepiej nie zaczepiać, lepiej nie drażnić złych jego skłonności, nie narażać się na nieposłuszeństwo z jego strony, na osłabienie rodzicielskiej naszej w jego oczach powagi. Jeśli krzyczy i złości się, nie gniewać się, ale też nie uspokajać, nie zabawiać go próżno, a ono po chwili, widząc, że się niem nie zajmują, krzyczeć samo przestanie. Jeśli zrobić czego nie chce, nie nalegać także zbyt ostro, nie pobudzać jego uporu, nie stawiać go w możności okazania się nieposłusznym, ale skuteczną poprawę wad jego zostawiając czasowi, łagodzić powoli charakter jego miłością. Karanie dziecka to już jest ostateczność, do której lepiej nie dopuszczać, której zresztą łatwo uniknąć tam, gdzie jest ciągła baczność, ciągle czuwanie, by nie zrobiło nigdy nic złego. Tak prowadząc dziecko łagodnie i z miłością, lecz stanowczo i rozsądnie, gdy się je wcześniej nauczy posłuszeństwa, później oporu nie potrafi, nie ośmieli się stawić, ale naukę tę rozpoczynać należy od pierwszego roku życia, pierwsze bowiem ciasteczko, dane dziecku na skutek jego napierania się lub płaczu, jest zarodem wszystkich trudności, które się spotka później w jego wychowaniu. »Nie wolno«, jest to sakramentalne słowo, które tylko z wielką uwagą, stanowczo i nieodwołalnie wymawiać trzeba: lepiej bowiem nie zabraniać czegoś wcale, niż zabroniwszy, dać się później zmiękczyć prośbami lub płaczem. Szczególniej też w rzeczach, które nie mogą mieć zgubnego na przyszłość dziecka wpływu, nie zaszkodzi pobłażliwość: można więc przebaczać mu splamienie sukienki, można dozwalać głośniejszej zabawy, a nawet nieszkodliwej jakiej swawoli, bo tym sposobem nie pozbawi go się tej dziecinniej swobody, którą później tak mile wspominać będzie,

a obok tego, nie licząc rzeczy takich do rzędu przewinień, nie wymagając od dziecka niepodobieństwa, uchroni się je od mimowolnego często a nieuniknionego prawie nieposłuszeństwa.

Prawda, że zdobywszy się wcześniej, póki dziecko małe, na nieugiętą surowość, możnaby uniknąć tych wszystkich zachodów i pozornie przelamać z łatwością. nawet upór jego; możnaby przybrać względem niego taką nieubłaganą postawę, że drżałoby na widok ojca lub matki i przez bojaźń kary byłoby posłuszne na każde ich skinienie — ale dziecko tak machinalnie posłuszne, tak sztywno grzeczne, nie przedstawia żadnej rękojmi na przyszłość, a nam przecież w wychowaniu dzieci o przyszłość ich chodzi najwięcej. Dziecię takie nie uprzykrzy się zapewne rodzicom grymasami swemi, nie umęczy ich nawet zbyt hałaśliwą zabawą, matka z niem nie dozna kłopotu, ale będzie ono dobre i posłuszne dotąd tylko, dopóki na niego patrzeć będą, dopóki go z oczu nie spuszcza; skorzysta zaś z pierwszej sposobności wyłamania się z pod władzy rodzicielskiej, jeżeli nie będzie miało wpojonego tego przekonania, że posłuszeństwo względem rodziców jest konieczne dla jego własnego dobra, jest zbawienne dla niego, jest obowiązkiem jego. Poczucie obowiązku, to podstawa całego życia, bez niej najstaranniejsze wychowanie stanie się budową kruchą i nietrwałą. Może mi tu zarzucić niejeden, że z dzieckiem rezonować nie można, że dosyć kiedy ono jest dobre, dlatego, że mu innem być nie wolno. Przyznaję, że śmieszne byłoby mówić mu o obowiązku, gdy ono nawet znaczenia tego wyrazu nie pojmuje, ale wiem z doświadczenia, że trzechletniemu dziecku już mówić można o Bogu i uczyć bojaźni bożej, tak też tylko od kolebki nauczana wiara wlewa się do duszy na całe życie, — ta zaś późniejsza nauka religji, to zadawanie dziecku katechizmu do nau-

czenia się napamięć razem z gramatyką pozostanie może w pamięci, ale będzie zawsze martwą tylko literą. Każda więc prawdziwie czuła matka, która nie umiałaby przybrać dość groźnej względem dziecka postawy, nie umiałaby ciągle udawać oziębłości i gniewu (bo czyż taka szczerze gniewa się kiedy?), niech napróżno nie sili się na to, niech owszem nie tai przed dzieckiem, że jej to robi przykrość, gdy ostrzej napomnieć je musi, że, gniewając się lub wymierzając karę, robi sobie przymus, robi to tylko z obowiązku, tylko dlatego, że Bóg przykazuje rodzicom, by nie pobłażali złym dzieciom, i jąby samą wraz z niemi ukarał, gdyby postępowała inaczej. Dziecko to wszystko doskonale zrozumie, gotowe będzie prosić matkę o ukaranie, byle się tylko uchronić od gniewu i niebłogosławieństwa bożego, i karzącą je rękę z miłością, nie ze strachem z własnego ucałuje popędu. Kara w ten sposób wymierzona, choćby była tylko odmówieniem zwykłego uścisku — gniew taki bez złości, napomnienie bez uniesienia, ileż zbawienniej na dziecko wpłynąć może, niż wszystkie gwałtowne największej karności środki. Niech więc dziecię nie drży przed rodzicami swymi, ale niech tylko ma niezachwianą wiarę w każde ich słowo; niech wie, że ono jest zawsze stanowcze i nieodwołalne; nigdy też sprzecznych nie odbierając od nich rozkazów, niech ufa, że oni zarówno dobra tylko jego pragną, dla szczęścia jego tylko żyją. Chcąc zaś taką ufność w niem obudzić, nie można żądać od niego ślepego posłuszeństwa, nie należy stawiać woli naszej za jedyne dla niego prawo, ale owszem, potrzeba przekonać je zawsze, że każdy rozkaz nasz nie wynika z chwilowej naszej fantazji lub przywidzenia, ale jest sprawiedliwy i słuszny — przedewszystkiem zaś potrzeba żartem nawet nie skłamać nigdy przed dzieckiem, potrzeba nie mówić nic takiego, co się później odwoływać musi, żadnych bajecznych nie wymyślać strachów. Nie dziadów i kominiarzy, ale niech



dziecię boi się tylko obrazy bożej i zasmucenia rodziców, niech wie, że tylko dobre i posłuszne dziecko Pan Bóg błogosławi, i to błogosławieństwo boże niech nauczone będzie uważać za jedyną rękojmnię szczęścia swojego, nawet tu na ziemi. W takich wzrastając zasadach, pozna naprzód najpierwszy swój obowiązek: posłuszeństwo dla rodziców, następnie usposobi się do pełnienia tych, które bieg lat wkłada na człowieka, i kiedyś, mimo uzyskanej zupełnej od rodziców swych niezawisłości, z tej wskazanej przez nich drogi obowiązku nie zejdzie tak łatwo, gdyż pobudką jego czynności nie będzie nigdy konieczność lub przymus, ale przekonanie. Otóż to w ten sposób kochać, w ten sposób bez szkody pieścić nawet można dzieci. Ale to jeszcze niedosyć, bo jeżeli, chcąc zyskać wiarę u dziecka, nie należy kłamać wobec niego słowem, tem szkodliwiejby było kłamać czynem, kłamać życiem całem. Cóż pomogą najpiękniejsze zasady, które starać się będziemy wpoić w nasze dzieci, jeżeli stwierdzać ich nie będziemy własnym przykładem? Niech więc one widzą ojca klękającego codziennie do pacierza, matkę korzącą się przed ołtarzem i z ufnością spoglądającą w niebo w każdej trosce i niedoli, a będzie to dla nich najskuteczniejszą lekcją religji; niech żaden ubogi, do drzwi domu kołaczący, nie odejdzie bez jałmużny i obelżywie zelżony, a i one nie zapomną widzieć w nim zawsze Chrystusa; niech żaden rzemieślnik, służący lub kupiec, nie dopomina się dwa razy o zapłatę, a i one nie przyuczą się uiszczenia takiej świętej należności i każdego zaciągniętego długu uważać za mniej pilne, niż zaspokojenie zbytkownych potrzeb, do których nawykły. Niech córka widzi matkę zajętą zawsze obowiązkami swemi, nie goniącą za zabawami i strojem, a i ona nie wyrośnie na pustą tylko salonową lalkę; niech syn widzi ojca uczciwie użytecznej oddanego pracy, szlachetnym ogólnego dobra poświęcającego się celom, a i on w przyszłości nie samo tylko

użycie za cel sobie obierze. Jeżeli zaś obok takiego wychowania, obok takich przykładów, dzieci na znacznych nie wyjdą kiedyś ludzi, to już rodzice winni temu nie będą; to się stać może tylko, gdy dziecko, przy bardzo lekkomyślnym i słabym charakterze, narażone będzie na przeważający wpływ złych ludzi. Żeby jednak o ten szkopuł nie rozbiło się trudne dzieło matki, jedną mam jeszcze dla niej radę, oto: niech stawiając ciągle Boga przed oczami swych dzieci, robi co może, by dusze ich, pieczy jej powierzone, od najłżejszego uchronić zbrukania; lecz niech sobie, nawet w razie pomyślnego starania swych skutku, żadnej nie przypisuje zasługi, niech pamięta, że człowiek jest bezsilny bez pomocy Bożej, i ona więc pewnoby nie podolała wielkiemu zadaniu matki chrześcijanki, gdyby zaufała własnemu rozumowi i sile, a zatem w Bogu niech złoży całą ufność swoją, kierunkowi Opatrznej Jego ręki niech się poddaje we wszystkim, a łącząc zawsze do gorliwych usiłowań swoich serdeczną modlitwę o natchnienie i łaskę z nieba, przyszłość swych dzieci Bożej niech odda pieczy, z tą nadzieją, że prędzej czy później, wiara jej tak samo nagrodzona będzie, jak niegdyś wiara setnika, do którego powiedział Chrystus: »jakoś uwierzył, niech ci się stanie«.

## X

### JESZCZE O KOBIECIE JAKO MATCE.

Utrzymując, że dzieci od pierwszych lat życia nie-tyle rozkazem, co przeświadczeniem, prowadzone być winny, miałam szczególnie na myśli synów, którzy tak wcześnie z pod bezpośredniej opieki rodziców wychodzą. Chwila pójścia do szkół jest dla chłopca chwilą pierwszego zetknięcia się ze światem. Tam to poznaje się on z kolegami, którzy, będąc równi wiekiem, ale często

niepodobni wychowaniem, popychają go do tysiąca niedozwolonych mu dotąd swawoli i nadużyć i jeszcze namśmiewają się z niego, jeżeli za ich przykładem i namową iść nie chce. Wtedy to niechaj rodzice, a szczególnie też matka (bo chłopiec mniej już zwykle wstydzi się słuchać ojca jak matki), nie łudzą się próżno nadzieją, że władza rodzicielska, choćby najgroźniejsza, będzie silniejsza od wpływu kolegów; powaga tej władzy w takim razie tylko uratowana być może, jeżeli chłopiec nie był dotąd samym rządzony postrachem, jeżeli już pojął co to obowiązek, i jeżeli od namowy kolegów, od obawy ich żartów i szyderstw, silniejsza będzie w jego sercu obawa zasmucenia ukochanych rodziców i obrażenia Boga. Że jednak ta pierwsza stałości charakteru próba jest niezawodnie w życiu jego najtrudniejsza do przebycia, trzeba żeby rodzice dopomagali mu ile możliwości do jej zwalczania. Niech więc przede wszystkim ochraniają zawsze jego miłość własną, bo jeżeli są tak niebaczni, że np. wobec kolegów upokarzają młodego chłopca surowemi napomnieniami swemi i gwałtem go do posłuszeństwa zmuszają, to mu sami utrudniają jeszcze bardziej wytrwanie w uległości, i chłopiec, w ten sposób raz upokorzony i zawstydzony, zapragnie na drugi raz postąpić właśnie wbrew woli rodziców, dlatego tylko, by pokazać kolegom, że i on może robić co mu się podoba. Bezpieczniej więc wszelkie uwagi czynić mu na osobności i, zabroniwszy np., by należał do jakiej nagannej swawoli, pozostawić mu wolność, by się sam od niej przed kolegami wymówił, obok czego można będzie zaraz obudzić w nim ambicję, zasadzając się nie na naśladowaniu drugich, ale na śmiałości trzymaniu się swojego zdania, na okazywaniu w każdym razie stałego i nieugiętego charakteru, który zawsze więcej daleko, niż chwiejny i słaby, budzi poszanowania. Chłopiec, raz się o tem przekonawszy, nie ulęknie się już później nierozsądnego śmiechu kolegi i, pokładając



nieograniczoną w rodzicach swych ufność, będzie miał nawet odwagę oświadczyć się głośno ze swą dla nich uległością.

Szkola jest to świat w minjaturze; wszystkie wady i namiętności ludzkie tam spotkać można; matka więc powinna wtajemniczyć się niejako we wszystko, co się tam dzieje i co syna jej spotyka, bo tym sposobem, ustąpiwszy innym obowiązku uprawiania jego umysłu, będzie jednak mogła kształcić ciągle jego duszę i udzielać mu najważniejszej dla niego nauki, bo nauki życia. Zadanie to zarówno jest wielkie, jak trudne, i matka jedynie tylko przez miłość dopełnić go może: ojcu bowiem prędzej jeszcze wolno być surowym dla syna, chociaż także lepiejby było, żeby, obok uszanowania, umiał obudzić w nim zaufanie ku sobie, umiał stać się prawie jego przyjacielem — ale matka, to już bezwarunkowo z całą słodyczą tylko obchodzić się z nim powinna. Niechaj więc czułością swoją surowość ojca łagodzi, niechaj każdy rozkaz jego tkliwą popiera prośbą, niech przekonywającemi słowy słuszność wszelkich jego żądań wyświeca. Sama zaś niech przez brak wyrozumienia i pobłażliwości nie odtrąca zaufania kochającego ją dziecka, niech się dowiaduje zarówno o nauki jego w szkole, jak i o zabawy poza jej obreębem i, umiając wchodzić w potrzeby młodego wieku, niech mu czasem nastrecza sama pożądaną a nienaganną rozrywkę, ale niech jednocześnie żadnej nie pomija sposobności, by wyrabiać w nim zdrowy sąd o rzeczach, prostować jego zdanie, budzić w nim szlachetne uczucia. Niechaj go więc uczy, by nawet przy zabawie rzetelnie i uczciwie postępował, by między towarzyszami swymi nigdy nie gardził uboższym, nie pochlebiał bogatszemu, by stawał zawsze w obronie słabszego, urazy łatwo przebaczał i z pomocą chętnie każdemu spieszył. Następnie niech się stara dać mu wcześniej uczuć wartość i potrzebę nauki; niech mu przedstawia, że jakkolwiek współ-

dyktando  
2 co rko

chwata bog  
ie. Andri  
jed. doko

zawodnictwo w naukach chwalebne być może, nie powinno jednak dawać powodu do zazdrości i zawiści, że należy uczyć się dobrze nie dla odznaczenia się, nie dla nagrody, bo ta często najgodniejszego omija, ale dla pożytku, jaki się z nauki odnosi, dla zadowolenia, jakiego się doznaje, spełniając dobrze swój obowiązek. Tym sposobem, gdy go wcześniej przyzwyczai szukać zawsze nagrody swych zasług tylko w swem własnem sumieniu, od iluż zawodów i zniechęceń ochroni go przez to w przyszłości!

Stosunek jego do nauczycieli niechaj mu także matka w prawdziwym wykaże świetle; niech go nauczy rozróżniać szacunek dla człowieka od uszanowania należnego przełożonemu, bo jeżeli uszanowanie to i uległość będzie on uważał za prawo boże, za podstawę porządku społecznego, nie uchybi pewno nauczycielowi, choćby nawet nie miał dla niego szacunku.

O wszystkich ułomnościach i występkach ludzkich, o wszystkich szkaradach tego świata niechaj także młody chłopiec dowie się najpierw z ust ojca lub matki; trucizna ta, tylko ich ręką podana, nie stanie mu się szkodliwą, inaczej, pociągnięty urokiem tajemnicy, nie dojrzy wpośród jej cieni tych mętów, od którychby przy jasnym dniu z obrzydzeniem się odwrócił. Niech więc dłoń matki czar ten zażegna, niechaj przenikliwość macierzyńska przewidzi zbliżającą się dla niego chwilę pierwszego możliwego potknięcia i wcześniej jej zapobieży, niechaj w jej uścisku znajdzie on siłę do zwalczania pierwszej pokusy, a później — później, sama jej modlitwa wystarczy może, by uciszać w jego piersi budzące się namiętności i od upadku go chronić.

Wreszcie za cel życia niechaj mu matka wskazuje pracę i powtarza ustawicznie, że tylko człowiek, który pracuje i jest użyteczny społeczeństwu, wart żyć na świecie, ale niechaj go chroni od próżniaczych marzeń o wielkości, które najczęściej do niczego nie prowadzą.

Młodzi, którzy marzą tylko o wielkich poświęceniach, bohaterskich czynach, którzy się poczuwają do jakichś niezwykłych względem społeczeństwa obowiązków i ni-  
 by są gotowi nadzwyczajne na ołtarzu ludzkości składać ofiary, najczęściej w daremnem oczekiwaniu sposobności do takowych gnuśnią i życie marnują. Niech więc żadna matka nie pragnie widzieć koniecznie syna bohaterem lub jedną ze znakomitości społecznych, niech go raczej stara się skierować na zwykłą drogę uczciwego człowieka, który, nie będąc żadnym świecznikiem, ani dobroczyńcą ludzkości, jest jednak prawdziwie pożyteczny światu przez sumienne spełnianie obowiązków powołania, które sobie obrał. Genjuszem nie każdemu być dane, ale użytecznym każdy być może, jeżeli od młodości pokocha pracę, która sama tylko uszlachetnia człowieka, chroni go od zniechęcenia do życia i daje mu to zaspokojenie i pokój wewnętrzny, bez którego nikt szczęścia prawdziwego nie znajdzie. Otóż podobno i wszystko, co matka dla moralnego dobra syna uczynić może; ale zato wychowanie córki już wyłącznie do niej należy i pozornie zdaje się, że wielkich nie przedstawia trudności. Istotnie, córka, która nigdy nie wychodzi z pod straży swej matki, nie może też popełnić nic takiego, coby jej wstyd i zmartwienie przyniosło, ale taka bierna cnota—czyż cnotą nazwać się może? Niedosć więc pielęgnować i czuwać, ale jeszcze trzeba tak umocnić duszę młodego dziecięcia, by mogło być nawet sobie samemu pozostawione bez szkody. Próżność, ta najpospolitsza i najbardziej pozioma wada w kobiecie, a która czasem bardzo daleko prowadzi, powinna być przez dobrą matkę z największem wykorzenianiem staraniem; trzeba więc, by najpierw z siebie nie dawała ona córce przykładu zbytniej o powierzchowność i strój dbałości i zbytniego za zabawami gonienia, ale jeszcze, by jej umiała wystawić, jak bardzo to wszystko jest czeźsze i jak poniżej kobietę. Gdyby zaś, jak to niektórzy



utrzymują, próżność miała być kobiecie wrodzona, niech się stara przynajmniej skierować ją w swem dziecku ku szlachetnemu celowi. Jakkolwiek różnem jest stanowisko kobiety i mężczyzny, obowiązek pracy na obojgu ciąży zarówno: kobieta także pracować w miarę sił swoich powinna, jeżeli nazwy człowieka pragnie stać się godną. Otóż, niechby cała próżność niewieścia na tem właśnie polegała, żeby na tę nazwę zasłużyć. Nauka, to pierwsza pożyteczna praca, którą młoda panienka, dzieckiem jeszcze będąc, podejmować może; ale trzeba, żeby się uczyła nietylko dla nabycia coraz większych powabów, ale dla usposobienia się do użytecznego życia w przyszłości. Matki to jest zadaniem taką w córce budzić dążność, taką jej do nauki wskazywać pobudkę — że zaś każda dziewczynka od dziesiątego prawie roku życia niczego więcej nie pragnie, jak żeby już prędzej być dorosłą, to więc jej dziecinne pragnienie może wybornie ku powyższemu celowi posłużyć — trzeba tylko przekonać ją, że patentem na dorosłą panią nie będzie dla niej długa suknia i pierwsze w świat wystąpienie, ale dopiero chwila, w której z ukończeniem szkolnych nauk rozpocznie się dla niej życie pracy, nie dla własnej już tylko korzyści, ale dla pożytku drugich, w której nabyte wiadomości i talenta praktyczne znajdą zastosowanie, w której zgromadzone w duszy i umyśle skarby martwym przestaną być kapitałem. Gdy zaś czas na to przyjdzie, trzeba, żeby z dniem, w którym skończy nauki w zamierzonym zakresie, objęła zaraz jakiś wydział gospodarstwa domowego, żeby miała sobie powierzony wyłączny dozór nad spiżarnią, bielizną, ogrodem lub czemś podobnem, żeby obok tego przyjęła obowiązek nauczycielki młodszych swolch siostrzycek i choć jeden wykladała im przedmiot, a tym sposobem, stawszy się wyřęcycielką swej matki w jej licznych zajęciach, zacznie się choć w części wywdzięczać rodzicom za wszystkie ich ofiary, starania i trudy.

przestanie im być ciężarem i będzie mogła śmiało powiedzieć, że jest użyteczna, a więc nie jest już dzieckiem. Takie wczesne nawyknienie do pracy niechaj będzie pierwszym zawiązkiem tego najlepiej procentującego kapitału, jaki rodzice w braku spadłych sum hipotecznych powinni dziś koniecznie dawać w posagu swym córkom, a jaki zależy głównie na usposobieniu ich do jakiegokolwiek produkcyjnej pracy, któraby ich był zapewniła.

Oprócz tego, chociaż taka młoda panienka niewiele zwykle ma do rozdania, idąc jednak za przykładem i natchnieniem swej matki, znajdzie ona pewno niejedną do dobrego uczynku sposobność: odrobiną potrawy na talerzu umyślnie zostawionej nakarmi nieraz głodnego; zniszczoną swoją sukienkę przerobi na ciepłe dla ubogiego dziecka ubranie, a okryje nagiego; służącej swojej wyłoży główne prawdy wiary, nieznane jej dotąd, a nauczy nieumiejętnego; na równieckich i przyjaciółki swoje, mniej dobrze niż ona wychowane, starać się będzie nieznacznie zbawienny wpływ wywrzeć, a będzie miała także niemałą zasługę. Tym sposobem nauczy się praktycznego stosowania tych religijnych zasad, które w nią matka od dzieciństwa wpajała, i zyska tę korzyść, że wpośród czynnego i pracowitego życia nie poblednie jej twarzyczka od nudów i tęsknoty, myśl trzeźwa i zdrowa w chorobliwych nie utonie marzeniach, serce nie uderzy przedwczesnie urojonem uczuciem. Tarczą zaś przeciw nieuniknionemu czasem złudzeniu lub pomyłce niech jej będzie miłość dla matki i zaufanie do niej bez granic. Takie zaufanie dziecka łatwo jest pozyskać, jeśli go się tylko nierozsądnem obejściem dobrowolnie nie odepchnie. Ufność zyskuje się tylko ufnością: matka więc, która się zawsze przed dziećmi tajemnicami okrywa, która z całą niedelikatnością każe im odchodzić, gdy jej wypadnie jakąś ploteczkę rozpowiedzieć swoim znajomym, nie może się spo-

dziewać, żeby i córka tajemnic przed nią nie miała. Ale jeżeli w domu wszystko jawnie się dzieje, jeżeli dzieci nie spostrzegają tego przynajmniej, że się coś przed nimi ukrywa, nie nauczą się podchwytywać ukradkiem tajonych przed nimi wiadomości i same też każdą myśl, każde poruszenie swej duszy odczytać matce dozwolą. W takiej wzajemnej między matką i córką ufności jest tyle uroku i tyle moralnych korzyści, że warto dla nich poświęcić przyjemność zajmowania się cudzemi sprawami; zresztą czasem dobrze jest nawet, gdy matka opowie sama dzieciom to, o czym może dowiedziałyby się skądinąd. Nie w naiwnej o złem nie-wiadomości, ale raczej w obrzydzeniu ku niemu, a w zamilowaniu cnót wszelkich córkę wychować należy. Niech więc matka w długich poufnych rozmowach stara się zaszcześcić w jej umyśle zasady, oparte na prawdziwej religji i surowej moralności, niech z nią mówi o wszystkich życia położeniach, niech zdania swoje popiera przykładami, wziętymi z rzeczywistości lub nawet z własnego życia, a tym sposobem najłatwiej potrafi urobić podług swej woli tę młodą duszyczkę, z którą złączona najświętszą z ziemskich miłości, zjednoczy ją też z sobą wspólnością uczuć, zdań i celów i, przeglądając się z rozkoszą w tem żywym zwierciadle, ujrzy się w dziecku swem na nowo odrodzoną nie tylko ze krwi, lecz i z ducha.

## XI

### KOBIETA NIEZAMEŻNA.

Jeżeli rozdziałowi temu nie daję tytułu Stara Panna, czynię to dlatego, że o żadnych dziwactwach i śmiesznościach do nazwy tej przywiązanych mówić nie myślę. Wzorem niemłodej panny jest dla mnie osoba tak szanowna, że, najwyższą cześć dla niej mając, nie



widzę, w niej wcale tych słabostek, które ludzie przypisują kobietom starszym, wyłącznie wtedy, gdy są niezamężne. Wprawdzie starość, mająca swoje dolegliwości, może też mieć i dziwactwa, to pewna jednak, że kobieta, która jest dziwaczką, będąc panną, byłaby nią także — choćby zamaż poszła. Humor cierpki i drażliwy spotykamy przecież i w młodych osobach; niezadowolenie z siebie i z całego świata dręczy nieraz i kobietę zamężną, gdy ta w młodości żadnych na osłodę późniejszych lat nie zebrała zasobów; niejednej też matce rodziny zarzucamy wiele również błahych upodobań, jak to, tyle wyśmiewane, przywiązanie starych panien do kotków i piesków; wreszcie niestosowne do wieku ubranie i obejście — albow nas często nie razi w mężatkach? Stąd widzimy, że wszelkie takie i tym podobne słabostki i przywary mogą być udziałem każdej kobiety i w każdej są zarówno naganne, bez względu na jej wiek i położenie. Dajmy więc pokój tym biednym ułomnym istotom, którym czasem brak serca a czasem rozumu, a pomówmy lepiej o tem, w jaki sposób kobieta obdarzona i sercem, i rozumem, może być szczęśliwa i użyteczna, chociaż zamaż nie pójdzie. W ciągu niniejszej pracy mojej tyle razy się zwracałam do tego przedmiotu, że pozostaje mi tylko dodać jeszcze kilka rysów, żeby określić bliżej położenie kobiety, która, będąc niezamężną, nie klóci się z swym losem, nie wyrzeka wszelkich uczuć i w samolubnem nie zamyka się odosobnieniu. Trzydziesty rok jest to pora, w której młodość niewieścia przemija już prawie bez śladu; ołóż panna, która wieku tego doszła, wtedy tylko prawdziwego dowodzi rozsądku i pojmuje własny swój interes, gdy ma odwagę przyznać to przed sobą i przed światem całym, bo tym sposobem oszczędza sobie niejednej przykrości i upokorzenia, na które inaczej w tej drażliwej życia epoce narażona bywa. Już odtąd strój, postawę, krok jej każdy cechować powinna ta pewna powaga, tak starszym oso-

born właściwa. Jest to w mojem przekonaniu prawidło i męzatkę obowiązujące zarówno, wszelkie bowiem tańce i zbyt wesołe zabawy, wszelka trzpiotowość młodzieńcza jakoś w tym wieku nie przystoi kobiecie. Nie znaczy to jednak, żeby, będąc niezamężną, miała się ona całkiem wyrzekać towarzystwa — owszem, jeżeli życie jej nie upłynęło na próżno, to zebrała już pewno w duszy tyle różnych zasobów, że w każdym towarzystwie pożądana być może. Słodkie i ujmujące obejście, rozsądek prawdziwy, umysł wykształcony i myślący, sąd o rzeczach wyrobiony, talent wreszcie jakiś z prawdziwem uprawiany zamilowaniem, są to wszystko przymioty i powaby trwalsze, niż gasnący z wiekiem blask oka i blednący rumieniec na twarzy; kobieta więc niemi uposażona może być ozdobą i duszą niejednego towarzystwa, choćby już młodością i wdziękami nie jaśniała. Oprócz balów i wieczorów są przecież w świecie inne rozrywki, wcale jej nie wzbronione, a których, jeśli dawniej nie szukała jedynie dlatego, by być widzianą i z modną pochwalić się suknią, to i dziś równą znajdzie w nich przyjemność. Powodowana więc prawdziwem zamilowaniem sztuki, lub nigdy nieustającym nauki pragnieniem, może bywać w teatrze, na koncertach, słuchać ciekawych prelekcij, i nikt jej tego za złe nie weźmie. Nie usuwając się od ludzi, nie odmawiając sobie wszelkiej rozrywki, każdemu dla samego odświeżenia umysłu potrzebnej, może taką osłonić się powagą, że nikt ani o niewczesną chęć podobania się, ani o żadne pretensje do świata posądzać jej nie będzie, — nigdzie jej nie powitają uśmiechem szyderstwa, ale zamiast tych hołdów, które może odbierała dawniej, wszędzie ją otoczy życzliwość i poważanie.

Tak stanąwszy względem świata, w życiu domowem jeszcze jej łatwiej przyjdzie pogodzić się z położeniem swoim, tu bowiem potrzeba tylko pracy i miłości, by się nie czuć znudzoną, nieszczęśliwą i ciężarem

drugim. Taka niemłoda ciotka, siostra, kuzynka, znajduje się prawie w każdej rodzinie; jakim zaś dobrodziejstwem jest nieraz obecność takiej osoby w domu, wiedzą o tem najlepiej te żony, skazane inaczej na długie godziny samotności, na którą je mąż, choćby nie chciał, skazywać często musi; wiedzą te panie domu, tak sumiennie wyręczane we wszystkim, przez co nie tylko że w razie choroby żadnej w gospodarstwie nie ponoszą szkody, ale przy wypoczynku i zdrowie odzyskują prędzej; wiedzą te matki, które, zmuszone wyjść z domu, spokojne są o dzieci, gdyż nad nimi życzliwe czuwa zawsze oko; wiedzą wreszcie i dzieci same, które, zamiast zostawać na łasce służących, czują nad sobą opiekę jakby drugiej matki. To zaś wysługiwanie się rodzinie, jak się niektórzy wyrażają, nie jest w mojem przekonaniu ani krzywdzące, ani przykre. Stać się użyteczną i potrzebną, czy to owszem nie pociecha dla serca? czyż to nie milej jak, zamknąwszy się w skorupie egoizmu, uciekać od poświęceń, nic nikomu dobrego nie zrobić, od nikogo nie być kochaną i dlatego, że się nie jest ani żoną, ani matką, już i wszystkie inne wyrzucić z serca uczucia. Taka niechęć do ludzi, takie rozjątrzenie przeciw całemu światu, jest tak nienaturalne w niewieścim sercu, a przytem tak gorzkie i bolesne, że należy wszystkimi siłami chronić duszę od tego jadu. Dlatego to sądzę, że każda niemłoda panna, posiadająca nawet znaczny majątek i mogąca własny dom prowadzić, nie powinna usuwać się od rodziny, jeżeli ją tylko posiada, ale owszem garnąć się do niej. Wprawdzie za cenę swych darów mogłaby ona i sama pokochać tych, którymby świadczyła dobrodziejstwa, pocóż jej jednak dla jakichś sztucznych uczuć, wrodzonych się wyrzekać? poco urojone wytwarzać sobie obowiązki, gdy ma rzeczywiste przed sobą? Takie szukanie uhocznych celów dowodziłoby chyba, że z goryczą na świat patrzy, czyniąc wszystkich bliskich odpowiedzialnymi za zawód,



doznany od losu: daleko bowiem prościej i naturalniej jest kochać przede wszystkim swoich, swoim najpierw wszelkie możliwe świadczyć dobro. Związki krwi są zbyt silne, by je samowolnie zrywać się godziło, są przytem tak słodkie, że tylko kobieta, która je szanować umie, która rodzinnymi uczuciami wypełni swe serce, która choć nie jest żoną i matką, całą duszą jednak przyłgnie do tych pokrewnych sobie istot, przy których żyć jej przeznaczono, nie będzie się czuła nieszczęśliwą i osamotnioną na świecie i życia swego nie nazwie czczem i bezcelowem. Położenie takiej kobiety bez względu na to, czy jest uboga, czy majątna, o tyle tylko chlubniejsza i pomyślniejsza się staje, o ile serce jej bogatsze jest miłością i bardziej z wszelkich samolubnych wyzuje się uczuć i pragnień. Majątek, lub byt niezależny, własną zdobyty pracą, jest zapewne bardzo pożądany, bo oprócz spokoju o jutro daje jeszcze możność robienia więcej dobrego drugim, ale szczęścia, ale zaspokojenia dla serca nie daje jeszcze kobiecie, bo dla niej koniecznym żywiołem jest miłość. Gdy ją zaś miłość jednoczy z krewnymi, przy których stole zasiada, nie czując się przy nich obcą, nie powinna się też czuć ciężarem; chleb, który spożywa, nie powinien jej być gorzki, bo go przecież nie je darmo, ale wzamian oddaje całe ciepło swego serca i w miarę zdolności pracowity użytek wszystkich dni swoich. Nie mając żadnych zbytecznych wymagań, stosując się we wszystkim do drugich, a zdając się prawie zapominać o sobie, obecnością swoją nikomu nie zawadza i widoczną staje się tylko wtedy, gdy do domu zawita choroba lub troska, gdy między domownikami jakąś drażliwą trzeba załagodzić sprawę, gdy w razie niezwykłych zajęć w gospodarstwie wypadnie kogoś wyręczyć, komuś ulżyć trudu. Cichych cnót, tajonych poświęceń takiego w rodzinie opiekuńczego anioła trudno policzyć; to też kto widział takie zaparcie się siebie obok wylania dla drugich, kto

się przekonał, jak niezmiernej wagi może być taka działalność nieznaczną, taki wpływ niewidzialny — kto doświadczył dobroczynnych skutków tych ukrytych przed światem a taką serdeczną miłością natchnionych czynów, — ten pewno nie będzie śmiał wyrażać się z ironją o starych pannach i nie zaprzeczy temu, że powołanie ich może być również szczytne, jak każdej żony i matki; że i one w skromnem swem życiu nie mniejsze jak tamta zebrać mogą zasługi.

## XII

### KOBIETA W STAROŚCI.

Zatrzymując się myślą na tym krańcu życia ludzkiego, który zwiemy starością, klękam całą duszą przed tą świętą postacią, której imieniem naznaczyłam początek tej pracy. Widzę ją, gdy strudzona życiem, złamana niejednem cierpieniem, spokojnie przez długie lata gotuje się na śmierć, której osłabione zdrowie niemylnym zdaje się być zwiastunem. Ta pogoda na jej czole wobec śmierci, ten spokój w duszy wobec wieczności, czyż nie jest najwymowniejszem świadectwem jej życia i najwyższą jej na ziemi nagrodą!

Widzę ją, klęczącą przed obrazem Matki Najświętszej, z okiem, w którym świeci łza, promienieje wiara. Modlitwa była dla niej zawsze źródłem pociechy, umocnienia i światła — w modlitwie znalazła ona i w starości tę potężną dźwignię, na której się wsparła, która jej dała taką siłę ducha, taką swobodę umysłu.

Widzę ją, tę niezmordowaną pracownicę w winnicy pańskiej, jak pomimo słabego zdrowia, pomimo sił zwątlonych, rąk jednak nie opuszcza, zawsze zajęta jakąś robotą dla dzieci lub wnuków, dla ubogich lub

kościola, w pracy szuka ukojenia, pracą w zmartwie-  
niach i troskach smutne rozrywa myśli.

Widzę ją, otoczoną ogólnem poważaniem, na które zapracowała swem życiem bez skazy. W długim przebiegu lat, żaden zarzut nie obciążył nigdy jej imienia, żaden głos nie zaprzeczył jej powszechnie pozyskanego szacunku; to też szacunek ten zamienił się prawie w cześć religijną i zaufanie bez granic. Każda jej rada ma nieledwie powagę ewangeliczną, każda prośba staje się prawem; ona więc chętnie wpływu swego używa, ile razy może komu co dobrego wyświadczyć: pogodzić np. rodzinę, lub poróżnione małżeństwo, wlać pociechę w serca strapionych, wskazać komuś obowiązki, zaniebywane dotychczas, i Bóg wspiera usiłowania, którym prawdziwa miłość bliźniego i prawdziwa przewodniczy wiara.

Widzę ją wreszcie wpośród rodziny, której jest błogosławieństwem i szczęściem. Główne zadanie jej życia już wprawdzie dokonane, już ona dopełniła powołania matki chrześcijanki, już przelała w duszę swych dzieci wszystkie własnej duszy skarby. Lecz może nie-które rzucone przez nią ziarna trafiły na grunt jałowy i nie wzrosły jak należy, ona więc grunt ten uprawia jeszcze gorącemi przy modlitwie łzami, i on prędzej czy później plennym stać się musi. O! bo potężne jest orędownictwo takiej świętej matki, która w cichości składa Bogu w ofierze, za szczęście i zbawienie swych dzieci, długie lata cnót, prac i cierpień, — potężne jest błogosławieństwo takiej drżącej już, bo spracowanej ręki, z nieograniczoną miłością na ich głowach opartej. To też jakże szczęśliwą nazwać się może rodzina, wpośród której postać taka rozpościera te promienie świętości, jakiemi jaśnieje; jak szczęśliwa jest ta drobna dziatwa, która ze czcią i miłością otacza taką sędziwą babkę i, siedząc u jej kolan, słucha uważnie wszystkich jej rad i napomnień. Dzieci te, zapatrując się od dzieciń-



stwa na tak bezgodną starość, zawsze pewno siwe włosy szanować potrafią i nigdy się nie splamią tem oburżającym lekceważeniem, z jakim terażniejsza młodzież tak się często o ludziach starych odzywa. Jest to zapewne dowodem, że jej serca i głowy bardzo są płytkie, ale czyż nie bywa, że czasem ludzie w późnym wieku sami są winni temu osłabieniu własnej powagi: bo ażeby pozyskać poważanie należne starości, niedość siwych włosów i zmarszczków na twarzy, ale trzeba jeszcze umieć godnie dźwigać jej brzemień. Starość, przedstawiająca czasem obraz tak smutnego upadku sił fizycznych i moralnych, wtedy tylko jest znośna i ma pewien urok, gdy jej przyświeca wiara i szczerą pobożność i gdy jej towarzyszą wspomnienia niezmarowanego napróżno życia. W takich warunkach tylko człowiek zgrzybiały, chory, niedołężny fizycznie może być jeszcze szczęśliwy, bo, spoglądając w niebo z ufnością, nie lęka się, ale owszem cieszy tą zbliżającą chwilą spoczynku, po której go czeka nieomylnie przebudzenie w tej wyższej krainie, gdzie już chorych i starych nie będzie. Starzec, chylący się do grobu bez tej nadziei, jest obrazem straszliwej nędzy, jest jakąś istotą anormalną, nieszczęśliwą, która wielką litość, ale także nieledwie i pogardę budzi. Bo i czemżeż go usprawiedliwić? Czyż to poziome uczucie pychy może go podtrzymywać w grzesznej bezbożności wtedy, gdy i ten rozum nawet, któremu jedynie ufał, bliskim już jest zniedołężnienia? Czyż z drugiej strony ta lekkomyślność, z jaką dotąd ziemskimi tylko zajmował się sprawami, mogła go zaślepić tak dalece, by w długim przebiegu lat nie dojrzał ducha Bożego tak w całej przyrodzie, jak i w pojedynczym człowieku? Czyż dla niego słońce napróżno świeciło lat tyle, by nie dojrzał dłoni, która je zapala? Czyż serce jego napróżno od lat tylu uderza, by pośród niskich i ziemskich uczuć, które w niem panują, nie zbudziła się żadna z tych nieskończonych żądz, które

dopiero poza grobem zaspokojone być mogą? Nie, to niepodobna! Rzućmy lepiej zasłonę na taką nędzę moralną a spojrzymy raczej na tę głowę, szronem okrytą, która z takim spokojem pochyła się nad otwartym grobem, głębi jego nie widząc, bo myślą sięga nieba. Przeżyte lata gniotą strudzone barki ciężarem trosk i cierpień, nie zmożły jednak silnego ducha, bo żadne wspomnienie, któreby rumieńcem wstydu pokrywało czoło, wagi im nie dodaje. Uczucie, iż się już jest nieużytecznym, a nawet ciężarem społeczeństwu, nie zniechęca także do życia tego zgrzybiałego starca, który, chociaż już dokonał zawodu swojego w świecie, zawsze jeszcze dąży za drugimi i pomaga ich pracom, jeśli już nie silnem ramieniem, to mądrym słowem, światłą radą, lub tylko nauczającym całego życia przykładem, za coudostateczną ziemską zapłatą jest głęboka cześć, którą w młodszych i silniejszych umiał dla siebie obudzić.

Wobec zbliżającego się kresu życia powołanie mężczyzny i kobiety nie różni się już niczem; stawiając ich więc myślą na jednakiem stanowisku, kończę pracę moją, uchylając głowę przed tym podwójnym majestatem starości, która, taką aureolą świętości otoczona, jest dopiero prawdziwym jej ideałem.

---





## SPIS RZECZY.

|                                                                                     | Str. |
|-------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Wstęp (przez Feliksa Brodowskiego) . . . . .                                        | 6    |
| 1. Wyznania osobiste (List do prof. S. P.) . . . . .                                | 6    |
| 2. Śród złud kinematografu. — W niewoli kłamstwa. —<br>Dwa okupy wolności . . . . . | 17   |
| 3. List do Julci . . . . .                                                          | 42   |
| Kobieta w rodzinie (przedruk książeczki Teofili Bro-<br>dowskiej)                   |      |
| Od autorki . . . . .                                                                | 53   |
| I. Czem jest kobieta . . . . .                                                      | 55   |
| II. O wyższem wykształceniu kobiety . . . . .                                       | 59   |
| III. O religijności u kobiety . . . . .                                             | 67   |
| IV. Fałszywa a prawdziwa pobożność . . . . .                                        | 70   |
| V. Kobieta jako córka . . . . .                                                     | 76   |
| VI.   »       »   narzeczoną . . . . .                                              | 82   |
| VII.   »       »   żoną . . . . .                                                   | 89   |
| VIII.   »       »   gospodyni . . . . .                                             | 100  |
| IX.   »       »   matką . . . . .                                                   | 103  |
| X. Jeszcze o kobiecie jako matce . . . . .                                          | 110  |
| XI. Kobieta niezamężna . . . . .                                                    | 117  |
| XII.   »       w starości . . . . .                                                 | 122  |

24. —  
1704/1705

# SPIS RZECZY.

|     |                                                         |
|-----|---------------------------------------------------------|
| 24. | Wstęp (przez Feliksa Brodowskiego)                      |
| 5   | I. Wyznania osobiste (List do prof. Z. P.)              |
| 6   | II. Świat i kłopoty — W niewolnictwie                   |
| 17  | III. Odczuwanie                                         |
| 42  | IV. List do taty                                        |
|     | Kobieta w rodzinie (przez katechetkę Teofilę Brodowską) |
| 53  | Od autorki                                              |
| 55  | I. Co jest kobieta                                      |
| 59  | II. O wyższym wykształceniu kobiety                     |
| 67  | III. O religijności kobiety                             |
| 70  | IV. Palczywa a prawdziwa pobożność                      |
| 76  | V. Kobieta jako matka                                   |
| 82  | VI. Kobieta jako nauczycielka                           |
| 89  | VII. Kobieta jako przyjaciółka                          |
| 100 | VIII. Kobieta jako gospodyni                            |
| 103 | IX. Kobieta jako matka                                  |
| 110 | X. Język o kobiecie jako matce                          |
| 117 | XI. Kobieta niezamężna                                  |
| 122 | XII. Kobieta w starości                                 |





20307/

1